

# TYGODNIK LITERACKI

Nr 4 (19) ■ Rok II ■ 27 STYCZNIA 1991  
ISSN 0867-1257 ■ Nr indeksu 379689 ■ Cena 2500 zł

BABUCHOWSKI, BALTYN, BONDY, HAVEL, HRABAL, JÄGERS, KOLÁŘ,  
MATYWIECKI, STALA, TOPOL, VACULÍK, WERNER, ZAHRADNÍČEK

## *Jesteśmy narodem anegdociarzy*

rozmowa z Ewą Kantůrkovą

Ostatnio wychodzi w Czecho-Słowacji mnóstwo książek autorów do niedawna zakazanych. W większości są to jednak tytuły, które ukazywały się w samizdacie lub na emigracji przed dziesięciu, piętnastu laty. W Pani wypadku rzecz ma się podobnie. Jak Pani sądzi, dlaczego tak mało jest nowości?

– Decydującą rolę odgrywają tu wydawcy, chcący stopniowo wypełnić lukę. Ja na przykład opublikuję wszystkie książki, jakie napisałam w minionym dwudziestoleciu. W pańskim pytaniu wyczuwam jednak ukrytą wątpliwość: czy utwory powstałe powiedzmy dwadzieścia lat temu mogą jeszcze zainteresować czytelnika; czy pojmowanie świata, widzenie problemów, cały ten rozwój duchowy nie jest już na innym etapie w porównaniu z okresem, kiedy te dzieła były pisane. Częściowo ma pan rację. Niektóre z tych tytułów „leżakują” na półkach, ale sporo jest takich, które – o dziwo – sprzedają się dobrze, przy czym sądzę, że istotny jest w tym wypadku nie tyle ich poziom artystyczny – „leżakują” przecież także książki niezwykle wartościowe – ile fakt, że umiały przemówić do ludzkiej wyobraźni oraz trafiły w czytelnicze gusty, zarówno kiedyś, jak i teraz. Sukces *Przyjacielek z domu* žaloby tłumaczę nie tym, że książka ta należy do tak zwanego nurtu więziennego, co samo przez się nie jest czymś niezwykłym, ponieważ tego typu literatury jest dużo, ale tym, że jej bohaterkami są przebywające w więzieniu kobie-

ty. A to jest u nas temat dotąd niezwykle drażliwy.

*W odróżnieniu od wielu innych pisarzy Pani nie zdecydowała się na emigrację. Miała zatem Pani okazję śledzić literaturę krajową. Jak Pani ocenia twórczość oficjalną minionych dwóch dekad?*

– Osobiście nie lubię podziału na literaturę oficjalną i samizdatową, ponieważ często bywa mylący. Ta terminologia była czysto „technicznym” określeniem nienaturalnej sytuacji, nie zawinionej zresztą przez pisarzy. Winę za taki stan rzeczy ponosi ówczesna władza polityczna, która wzniosła sztuczny mur, dzieląc pisarzy na dwie kategorie. Ci, którym wolno było publikować, płacili za tę możliwość utratą niezależności własnego pisarstwa. Niektórzy wykazywali się szczególnym sprytem, jak na przykład Hrabal, który miał dwie wersje książki: jedną oficjalną i tę drugą, która wychodziła u Vaculika w serii *Klůdka* (Petlice) albo na emigracji. Inna grupa autorów płaciła wyższą cenę niż Hrabal, doprowadzając do zniszczenia własnego talentu poprzez pisanie książek spełniających oczekiwania reżimu, w gruncie rzeczy wbrew własnym sumieniom. Nie chcę ich tu wymieniać z nazwiska, ale taką postawę przyjmowali także wybitni pisarze i są to postaci w pewnym sensie tragiczne. A prócz tego byli też nieliczni – jak choćby Vladimír Kůrner – którzy pisali swoje i nie musieli dokonywać

dokończenie na s. 4

Ivan Vernisch

*Jak słońce zgasło*

Honzie Z.

Jak słońce zgasło, jeszcze lepiej było.  
Wlaliśmy w siebie wszelakie gorzały,  
łażąc gadaliśmy głupstwa aż miło,  
chrzęściliśmy liście, a z lip się dymiło,  
albowiem wszędzie pod nimi gorzały  
jakieś tam szmaty i jakieś tam kości.  
Brednie płynęły jak w bezprzytomności,  
pachniało nam to jakby końcem lata.  
Zapach nas zmylił. To był koniec świata.

przełożył Leszek Engelking



Taniec z pióropuszcami w kształcie grzyba

TADEUSZ BRZOZOWSKI

# twarz tygodnia

**B**yla marsowa. Jaka inna mogła być w tygodniu, który chrząścił gąsienicami tanków, strzelał, bombardował i posyłał rakiety. Nawet u nas, gdyby głęboko wciągnąć w płuca powietrze, dałoby się poczuć charakterystyczny zapach ikordytu. Rzymianie powiadali: inter arma silent Musae. I jeżeli istnieje muza politykiem, jeżeli ta dziedziną ludzkiej aktywności potrafi być sztuka, to jej muza milczy teraz zaploniona ze wstydu.

Zastąpiono ją wystrzałami. Mądry komendant wrocławskiego garnizonu Karl von Clausewitz twierdził, iż „wojna jest niczym innym jak kontynuacją polityki innymi środkami”. Jak nie ma się pomysłu jako polityka powinna stać za palcem, który naciśnie spust, to nie powinno się go naciskać. A w tym tygodniu muza polityki płacze zapomniana wśród huku wystrzałów.

Więc najpierw Litwa. Zaczęło się w zaprzężonej niedzieli. My pamiętamy jak „powinien” wyglądać stan wojenny. Przeżyliśmy go przed dziesięciu laty. Musi być całkowita blokada informacji, uderzenie równoczesne i w wielu punktach: logistyka, koordynacja, dynamika. Nikt przecież nie będzie na serio twierdził, że armia radziecka jest gorzej wyszkolona, słabiej wyposażona czy też mniej liczna od polskiej. Wypadki wileńskie i ryskie noszą jednak wszelkie znamiona wojskowej amatorszczyzny. Nie wiadomo czemu miałyby służyć, nie wiadomo, do czego prowadzić. Nieboszczyk Clausewitz przewraca się w grobie widząc, że za takim militarnym wysiłkiem nie stoi żadna polityka. *Strielat' nie chwattit – nada znat' zaczem strielat'.* A tej wiedzy formacje czarnych беретów są pozbawione. Swoją drogą z wojskowego punktu widzenia to zupełnie surrealistyczna formacja. Wojska powietrzno-desantowe przeznaczone są do walki na głębokim zapleczu nieprzyjaciela, wojska wewnętrzne mają za zadanie zabezpieczenie własnych tyłów. Powietrzno-desantowe jednostki wewnętrzne to dowód na to, że własne tyły są nieprzyjacielskie.

Już parę dni trwa wojna z Irakiem. Tu też nie widać żadnego pomysłu, jakby też miała się ona skończyć. Na rozszerzenie wojny pomysły ma Sadam Husejn, na zakończenie wojny pomysłów nie ma nikt. Stany Zjednoczone uważają, że „wybombardują” Irak z wojny, że po którymś dniu intensywnych działań lotniczych w Iraku wybuchnie rewolucja, na której kałasznikowach wyniesiona zostanie nowa władza. Ten sam błąd popełniono już w 1944 roku. Tysiące ton bomb padające na Hamburg, Drezno i Kilonię miały obrzydzić Niemcom nienawistnego dyktatora. Na pewno nie lubili go za to bardziej – ale niczego to nie zmieniło. Za mocne było Gestapo. Przewodniczący partii Baas zabezpieczył się mocniej; ma pięć policji politycznych. Ostatni tydzień nie daje generałowi von Clausewitz spokojnego odpoczywania.

Bo weźmy taki Izrael. Miał on głęboko słuszną antyterrorystyczną doktrynę: na każdy cios odpowiadać mocniejszym uderzeniem. Ale co zrobić z ciosem zadany tylko po to, aby padła odpowiedź? Gdy armia izraelska zareaguje na iraackie ataki rakietowe, będzie to znaczyło, że po raz pierwszy uległa terrorystom. Zmusili ją do takiego działania, jakie sami zaplanowali. I czy wobec tych okoliczności racji nie miał Wespazjan Kochoński, pisząc:

„Niech wiecznym niewolnikiem żyje niespokojny w państwach Pluta ciemnego, kto wynalazł wojny”.

Dla nas najmniej pociesającym jest, że ani polska dyplomacja, ani polskie władze nie zdobyły się na jakiś stanowczy ruch, aby te – wazkie było nie było – wydarzenia skwitować. Wystarczy im widać zadowolenie spisane już przez Wyspiańskiego:

Niech na całym świecie wojna, byle polska wieś zaciszna, byle polska wieś spokojna.

Spisane na straty – polityczne.

FIZJONOMISTA

Polski Pen-Club przesłał 12 I 1991 roku depeszę z wyrazami solidarności na ręce Prezesa Litewskiego Pen-Clubu – Romualda Lankauskasa:

„Wstrząśnięci zbrojną interwencją w pokojowe życie Waszego suwerennego kraju – głosi depesza – podziwiamy Waszą godność i opanowanie i ślemy wyrazy żarliwej z Wami solidarności. Całym sercem z Wami

Polski Pen-Club

Wyrazy solidarności przesłał również Komitet Porozumiewawczy Stowarzyszeń Twórczych i Towarzystw Naukowych.

„Wielką przyjemnością będzie dla nas obecność Pana/Pani na spotkaniu podsumowującym naszą owocną współpracę w 1990 roku. Równocześnie obok tych miłych wspomnień, będziemy próbowali naszkicować nasze plany na przyszłość. Spotkanie odbędzie się 18.01.1991 o godzinie 14.00 w S.W. „Czytelnik”. Do milego zobaczenia”. To cytat. ■ Stanisław Podemski otrzymał doroczną nagrodę publicystyczną im. Adolfa Bocheńskiego za twórczość na łamach „Polityki”. Fundatorem nagrody jest Mieczysław Pruszyński. Książka „Agitka” została laureatką grudniowej edycji Warszawskiej Premiery Miesiąca. Klub Księgarza 17.01 zaprasza na wieczór promocyjny książki Anny Bojarskiej. ■ Od 19.01 PIW rozpoczął sprzedaż książek w Starej Pomarańczarni w Parku Łazienkowskim. W każdą sobotę i niedzielę można tam kupić najnowsze bestsellery i książki wydane przed kilkoma laty. 13.01 w Staromiejskim Domu Kultury odbyło się spotkanie z leningradzkim poetą Leonidem Zamiatninem. Tematem spotkania była aktualna sytuacja w literaturze radzieckiej. ■ „Jesteśmy poetami, przyjaciółmi, piszącymi w trzech językach: litewskim, rosyjskim i polskim. Zwracamy się do społeczności całego świata – do wszystkich kolegów pisarzy i wszystkich ludzi wrażliwych by głośno zaprotestowali przeciwko nieludzkiej radzieckiej przemocy wobec narodu litewskiego. Wyda-

# przegląd kulturalny

zenia ostatnich dni przywołują gorzkie wspomnienia najgorszych czynów, jakich dopuściło się państwo radzieckie”. Podpisane: Tomasz Venclova, Josip Brodski, Czesław Miłosz. ■ Przecena książek w największej warszawskiej księgarni „Universus” potrwa do końca stycznia. *Archipelag Gulag* już za 60 tysięcy, album „Cyganie w Polsce” za 10 tysięcy, „Żywy Sienkiewicz” za tysiąc. Są też rzeczy z innej półki – Rodan, Bratny, Statut ZSL. Ten ostatni za 60 złotych. ■ W KMPiK „Mokotów” zorganizowano trzeci już ogólnopolski przegląd kalendarzy. Niestety zebrane tam prace prezentują raczej niski poziom. ■ W moim ulubionym Centrum Sztuki Współczesnej w Zamku Ujazdowskim wystawa Marka Sobczyka *Dobre słowo*. ■ Są następcy Satanowskiego w Wielkim. 17.01 Grzegorz Michalski – wiceminister kultury i sztuki wręczył dwie nominacje – dyrektorem Teatru Wielkiego został inż. Jerzy Bojar, a dyrektorem artystycznym Andrzej Straszyński. ■ „Teatr na Woli” po czterech latach przerwy wznowia działalność. „Nosorożec” Eugène Ionesco to spektakl przygotowany przez zespół tego teatru na otwarcie. ■ 16.01 Teatr Ruchu „Akt” zorganizował warsztaty teatralne. „Mile widziany strój do ćwiczeń” ■ Znalazł się pisarz! Oddział Warszawski Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. 17.01 zaprasza na koncert *Ballady z Wielkiego Testamentu mistrza Franciszka Villona* do Domu Literatury na Krakowskim Przedmieściu. ■ W Teatrze Północnym 19.01 można było wysłuchać koncertu *Najpiękniejsze kolędy polskie i obcy* w wykonaniu Zespołu Muzyki Dawnej – Cantata Varsovia. ■ Stanisław Sojka, Tomasz Stań-

ko, Czesław Niemen, Marek Grechuta, Kora i zespół pantomimy Teatru Żydowskiego wezmą udział w spektaklu muzycznym *Tolerancja*, który odbędzie się 9.02. Cały dochód z koncertu będzie przeznaczony dla chorych na AIDS. ■ W Warszawskiej Operze Kameralnej w cyklu mozartowskim do obejrzenia i wysłuchania *Il re pastore*. Ciekawa inscenizacja. ■ Związek Kompozytorów przyznał nagrody za szczególne zasługi dla polskiego życia muzycznego. Otrzymali je – Zbigniew Rudziński za całokształt twórczości kompozytorskiej, zwłaszcza za operę *Manekiny* według Brunona Schulza oraz Tadeusz Strugała za wybitne osiągnięcia w dziedzinie wykonawstwa polskiej muzyki współczesnej. Gratulacje. ■ 25.01 wejdzie na polskie ekrany kolejna część *Indiana Jones* pod tytułem *Ostatnia krucjata*, a 15.03 (tydzień po premierze londyńskiej!) można spodziewać się premiery trzeciej części *Ojca chrześcijańskiego (Godfather, part 3)*. ■ Ciekawe skądinąd pismo *Film* poświęciło dwie strony (18 i 19) Lindzie Evans znanej z filmu *Dynastia*. Dlaczego nie cały numer? Ogłoszony został plebiscyt na najlepszą parę aktorów i na najlepszy polski film roku. Postulujemy Złote Kaczki dla Wajdy i Zanussiowego w obu konkurencjach. ■ W Krakowie celebrowano 60 rocznicę urodzin profesora Jana Błońskiego. ■ 18.01 w krakowskim BWA oraz w Pałacu Sztuki otwarto wielką wystawę pod tytułem *Goryk*. Intencją jej autora malarza Zbigniewa – ajka jest pokazanie ikonografii lat osiemdziesiątych w sztuce artystów krakowskich. Stąd takie elementy jak: Arka, Ściana, Martwa natura, Krzyk pomiędzy rzeczywistościami, Droga. Wystawa jest i ciekawa i irytująca, więc warto obejrzeć. Czyna do 24.02.

M.M.

## Namazalo się

Mazolęsa

– wagon kolei dojazdowej Warszawa-Wołomin

# artykuł polityczny

## Pir na wies' mir

**Z**aczął się karnawał. W światopoglądzie karnawałowym – twierdzi Michał Bachtin – wielkie znaczenie mają obrazy uczty, czyli jedzenia, picia i pochłaniania. Wielkie żarcie, „pir na wies' mir” to konieczny element święta karnawału. Przyczyna tkwi, zdaniem Bachtina, w archaicznych komponentach naszego systemu obrazowego: „W akcie jedzenia ciało przekracza swoje granice, połyka, pożera i szarpie świat, wchłania go w siebie, bogaci się i rośnie jego kosztem. Dokonujące się w rozwartej, gryzącej i przeżuwaną gębę spotkanie człowieka ze światem stanowi jeden z najważniejszych tematów, myśli i wyobrażeń ludzkich. Człowiek zjada tutaj świat, odczuwa jego smak, wprowadza go do swego ciała, czyni go częścią samego siebie. Budząca się świadomość ludzka nie mogła nie skoncentrować się na tym momencie, nie mogła też nie wydobyć szeregu bardzo istotnych obrazów określających wzajemne stosunki między człowiekiem a światem. To spotkanie ze światem dokonujące się w akcie jedzenia było radosne i triumfalne. Człowiek triumfował tu nad światem, gdyż to on pochłaniał świat, a nie świat jego;

granica między człowiekiem a światem zacierala się – w sensie dla człowieka korzystnym”

Karnawał był paroksyzmem społeczeństwa pierwotnego. Zwykły świecki czas zostawał zawieszony, wkraczano w „obszar” czasu świętego. Dzięki składaniu ofiar, przebieraniu miary, wykroczeniom, marnotrawstwu, orgiom społeczeństwo regenerowało się, zaś świat odzyskiwał młodość.

Stąd dwuznaczność karnawałowych obrazów, także tych związanych z jedzeniem. Ich drugą stroną jest śmierć, bo „umierać musi, co ma żyć”. Ten związek jedzenia i śmierci zachował się w języku: w łacinie to bliskość słów *mors* (śmierć) i *morsus* (gryzienie, jedzenie); w grece *brotos* (śmiertelny) i *brōtos* (jadalny). Rzymskie saturnalia, podczas których w „świecie na opak” panowie na pamiętkę złotego wieku usługiwali niewolnikom i odbywały się uczty na koszt państwa, urządzały na cześć boga, który pożerał własne dzieci...

We współczesnym świecie – twierdzi Roger Caillois – miejsce święta i karnawału zajęła wojna. Ona jest paroksyzmem naszego społeczeństwa, holdem zło-

żonym bożkowi bezproduktywnej zatrąty. Naszym *potlaczem*.

Wszystko wskazuje na to, że tegoroczny karnawał będzie krwawy. Wisi już nawet nad światem Gwiazda Piłun. Rosjanie utracili kontrolę nad swoją stacją kosmiczną Salut. Niebawem spadnie na ziemię grad złomu, choć kiedy, gdzie i jakie wyrządzi szkody – nie wiadomo. Ufać, że trafi w Sadama Husajna to przypisywać przypadkowi zbytnią rozumność.

W cieniu wydarzeń w Zatoce rozgrywa się tragedia Litwy. Po wkroczeniu ekspedycyjnych wojsk sowieckich do Wilna (przeczytałem w komentarzu „Trybuny”, że był to wybór „mniejszego zła”; o ile dobrze pamiętam, w 1981 roku generał Jaruzelski wybrał „mniejsze zło”, żeby nie wkroczyli Rosjanie; czyżby dziś Husajn, nie nasycony Kuwejtem, chciał wkroczyć do ZSRR?) Vytautas Landsbergis zadzwonił do Gorbaczowa. Sekretarz prezydenta odpowiedział przewodniczącemu Rady Najwyższej Litwy: „Prezydent je w tej chwili obiad i nie ma czasu na takie rozmowy”.

W tym – zaiste karnawałowym – świecie świeżo upieczono laureata pokojowej Nagrody Nobla znów połączyło się jedzenie i śmierć. Jest nim nonszalancja angielskich kolonizatorów, którzy o piątą po południu przerywali walki, aby wypić tradycyjne *cup of tea* i rezygnacja skazańca, który do końca zjada ostatni posiłek przed egzekucją.

Bo z drogi, na którą wkroczył Gorbaczow, nie ma odwrotu.

Tadeusz Komendant

# Ivan Wernisch

w przekładzie Leszka Engelkinga

## Mówi się,

że kiedy święty rabbi Menachem  
Mendel z Romanowa  
żył w wielkim niedostatku  
w mieście Prislík,  
jego żona sprzedała piekarzowi  
za ser i chleb swój udział  
w żywocie wiecznym.  
Mówi się,  
że sklepikarzowi także.  
Jeszcze gorsi ludzie zaś mówią,  
że im ten rabbi sprzedawał  
swoje święte księgi –  
pochwalony niechaj będzie Bóg,  
pochwalone niechaj będzie słodkie imię Jego.

## Szkic wiersza:

Inkasent wchodzi do domu, gdzie wszystko jest ogromnie podejrzanym. Dzwonek nie dzwoni, a w jakimś mieszkaniu milknie płacz. Na górze rozlega się jakiś trzask. Szafa pod schodami jest dokładnie taka, do jakiej można schować trupa.

Za oszklonymi drzwiami przedpokoju zjawia się okropnie zniekształcona twarz: zezowaty kurdupel z rozplaszczonym nosem i wywalonym językiem nie odpowiada na powitanie.

Inkasent odchodzi, chociaż nic nie zainkasował, a koniec wiersza powinien być mniej więcej taki: odchodzi z wrażeniem, że w tej czynszowej kamienicy zakochał się w nieznanym kobiecie. Jest to, ma się rozumieć, idiotyczne, ale inkasent ma dokładnie takie samo wrażenie, jakie by miał, gdyby zakochał się w kobiecie, której nie widział i której, jak to już w życiu bywa, nigdy nie zobaczy. W kobiecie, która ma coś wspólnego z podejrzanym domem.

Inkasent odchodzi, a z okna na pierwszym piętrze spogląda za nim płaskonosy kurdupel. Chyba jakieś dziecko.

\* \* \*

Chcę słyszeć fon-fon, aparat do wspomnienia!  
Fon-fonie, naśluduj  
głos dawno uduszonych ptaszków,  
charkot szyjek dawno ukręconych,  
jakoż i wiatr  
buszujący pod dachami szop,  
które tu kiedyś stały

Fon-fonie, naśluduj  
cichy szum, cichy szum  
z jakim chmury przesuwają się  
w inne miejsce

Wiatr wydyma obrus  
na stole, który stąd zabrano,  
przewraca się krzesło, które dawno podniesiono...  
Słyszysz pani swój głos, moja droga  
Prosiątko właśnie zeskoczyło z rożna i chrząka  
pani w dłoń,  
słyszysz pani swój własny głos  
jak mówi Ach

Ivan Wernisch (ur. 18 IV 1942 roku w Pradze), poeta czeski. Ukończył studia na Wydziale Artystycznym Wyższej Szkoły Ceramicznej w Karlovych Varach. Chwytał się różnych zawodów: był betoniarzem, cieślą, sztukatorem, agentem reklamowym, pracownikiem technicznym w teatrze, robotnikiem na budowie metra, stróżem nocnym, ratownikiem. Od roku 1990 jest redaktorem „Literárních novin”, bardzo cenionego w Czechosłowacji cotygodniowego dodatku kulturalnego do dziennika „Lidové noviny”. Po „aksamitnej rewolucji” został wybrany prezesem czeskiego Stowarzyszenia Pisarzy (Obec spisovatelů). Uprawia również twórczość plastyczną i tłumaczy z różnych języków, przede wszystkim z niemieckiego, rosyjskiego i niderlandzkiego.

Debiutował w roku 1958 w piśmie „Kultura”. Już pierwszy zbiorek, *Kam leti nebe* (1961, Dokąd leci niebo), zwrócił uwagę czytelników i krytyki. Następny, *Těšení* (1963, Radowanie), potwierdził, że pojawił się bardzo oryginalny talent poetycki. Pełne melancholii, romantyczne i marzycielskie wiersze z tomu *Zimohrádek* (1965, Zimowe letnisko), obfitujące w niezwykle skojarzenia i zagadkowe obrazy, stanowią jedno z największych osiągnięć liryki czeskiej lat sześćdziesiątych. W tomie *Dutý břeh* (1967, Wydrążony brzeg) znaczenia nabiera dysonans, ironiczny dystans, pierwiastek brzydoty i okrucieństwa. Po inwazji państw Układu Warszawskiego na Cze-

chosłowację Wernisch zdążył jeszcze, siłą rozpędu, opublikować tom *Loutky* (1970, Kukiełki). Później już go oficjalnie nie wydawano. Ogłosił kilkanaście tomików samizdatowych. Na emigracji ukazały się wybory *Zasuté zahrady* (1984, Zapuszczone ogrody) i *Žil, nebyl* (1988, Żył, nie był). Dopiero tuż przed przemianami listopadowymi wydano w Pradze wybór z całej twórczości poety, *Včerejší den* (1989, Wczorajszy dzień). Poezja Wernischa, pełna osobliwych, niepokojących i niezwykle sugestywnych wizji, ogromnie erudycyjna, jest też odkrywczą i bogata pod względem językowym. Dużo tu słów rzadkich, dawno wyszłych z użycia i na wpół zapomnianych, ale poeta nie stroni też od wyrazów potocznych, slangowych, wulgaryzmów. W ponurych i zarazem groteskowych wierszach z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, nasyconych prowokacyjnym cynizmem i czarnym humorem, pojawiają się silne akcenty turpistyczne.

W Polsce utwory Wernischa przyniosła opracowana przez Józefa Waczkowa antologia *Drzewo rośnie zielono* (1969, przekłady Andrzeja Piotrowskiego). Drukowała je również „Literatura na Świecie” (1990, nr 9) i prezentował program I Polskiego Radia. Wkrótce w krakowskim wydawnictwie „Miniatura” ukaże się obszerny tom poezji Wernischa, *Cmentarz objazdowy*, w wyborze, przekładzie i z postłowiem Leszka Engelkinga.

LE

## Szkic wiersza:

NIE DALEKO STĄD jest nieduże miasto. Miasto jest nieduże, ale mieszka w nim mnóstwo zadowolonych z życia ludzi. Na razie bowiem nikt z nich się nie domyśla, że się tam wybieramy. Zbliży się wieczór. Wielu zamówiło już sobie stawę, odbyć się ma parę spotkań, oczekuje się paru wizyt, bajzel ogłasza benefisy itp. Tylko że za chwilę przyjedzie wieczorny pociąg. Nikt nie próbuje temu przeszkodzić, jest to tutaj całkiem normalne, tak więc niewykluczone, że się dziś zbyt wiele przyjemnych rzeczy nie zdarzy. Kilka dobrze wygojonych dam wybiega wprawdzie na swe estradziatko, ale oto już spada kurtyna i wiele innych klęsk, jak na przykład syf, mendoweski, nasz drogi P. i wierzyście. Tak, tak, w tym mieście nieprawdopodobne staje się nagle rzeczywistością, albowiem właśnie tutaj próbujemy osiąść. Musi być wszak gdzieś na świecie jakiś kąt dla naszej dwójki.

\* \* \*

jeden jedyny piechur na betonowym placu ćwiczeń  
Stary w żółtozielonym brezentowym płaszczu  
Przed chwilą przestało padać  
W kałużach inny krajobraz  
Widać przez nie las liściasty  
Kiedy tak maszerując stary włązi w wodę  
gałęzie zaczynają się kołysać  
i ożywają na nich mechaniczne wiewiórki  
Aha, już wiem: to jest strzelnica  
skąd można trafić w inny świat niż nasz



TADEUSZ BRZOZOWSKI

TYGODNIK  
LITERACKI 3

# Jesteśmy narodem anegdociarzy

dokończenie ze s. 1

w tekście żadnych zmian, ponieważ ich twórczość była indyferentna politycznie, a jednocześnie prezentowała wysoki poziom. To, co powiedziałam, dotyczy z grubsza mojego pokolenia. Generację średnią, czterdziesto-pięćdziesięcioletników znam słabo, sądzę jednak, że i tu znaleźć by można duże talenty czy pojedyncze wartościowe utwory. W sypnie jednak literatura z państwowym debitem była szara i podrzędnej jakości, co więcej – zatraciła się w niej umiejętność opanowania pisarskiego rzemiosła.

*A jakie jest Pani zdanie o młodych? Co można sobie obiecywać po takich nazwiskach, jak Bára Basiková, Alexandra Berková, Jan Pelc czy Teofil B. Kulka?*

– Dodałabym tu jeszcze poetę Jáchyma Topola, ale oczywiście jest ich znacznie więcej. Cóż, ci młodzi są drapieżniejsi, bardziej swobodni w poglądach na sprawy seksu, narkotyków. Są po prostu w większym stopniu otwarci. Ci, których pan wymienił, mają dobre pióro, a ich drapieżność przejawia się także w swoistym stylu, z którym osobiście sympatyzuję. Jeśli pominię generację średnią, która jest szara i płaska, to po młodych spodziewam się wiele dobrego i – przynajmniej na razie – z przyjemnością czytam ich teksty. Muszę tu jednak wspomnieć o pewnym niebezpieczeństwie. Chodzi o to, aby nie ugrzęźli w tym swoim młodzieńczym, zapewne nieco przerysowanym oglądzie świata, jak na przykład Pelc, który opisuje środowisko marginesu i kontrkultury, czy Berková, koncentrująca się na obrazie młodej, zbuntowanej kobiety. To niebezpieczeństwo istnieje, ponieważ brak im solidnego, że się tak wyrażę – „duchowego zaplecza”, zresztą nie z ich winy. Oni posiadają olbrzymi kapitał życiowego doświadczenia, lecz nie uzyskali tego, co się u nas zwykło nazywać „dorastaniem pod pianinem” – a co uzyskał choćby Milan Kundera.

*Czy zechciałaby Pani skomentować aktualne życie literackie w swoim kraju? Jakie, zdaniem Pani, tendencje mogą przeżyć we współczesnej prozie czeskiej?*

– Chcąc odpowiedzieć na drugie pytanie, musiałabym mówić jak Pytia, lepiej więc będzie, jeżeli ograniczę się do sytuacji faktycznej. Szczerze mówiąc wydaje mi się, że pisarzy zajmujących się poważnie swoją profesją jest dziś u nas garstka. Przy czym nie dzieje się tak z lenistwa czy niemocy twórczej. Po prostu czas jest taki, że najpierw musimy się w tym wszystkim zorientować i nabrać odpowiedniego dystansu. Ja już od zeszłego roku mam szkic powieści i teraz sama nie wiem, czy w związku z ogromnymi przemianami w moim kraju będę w stanie wrócić do tego materiału. Poza tym wielu z nas znalazło się w zupełnie nowej sytuacji. Większość udziela się publicznie, część zajmuje się polityką, małą i dużą. Jak powiada Havel – każdy na swój sposób się poświęca. Ten przejściowy okres rzeczywiście wytrącił nam pióro z ręki i mówienie o kierunkach rozwoju, na przykład powieści, byłoby wróżeniem z fusów.

*W tak nieodległych przecież czasach ukazywały się znakomite samizdatowe pisma, choćby praski „Kritický sborník” czy*

*brneński „Host”, dużo miejsca poświęcające kompetentnej krytyce literackiej. Ich nieobecność – a zarazem nieobecność krytyki – jest chyba dosyć dotkliwa?*

– To prawda, wychodzące dziś czasopisma ograniczają się zazwyczaj do doraźnej działalności recenzyjnej. Tak jest z tygodnikami „Tvar” czy „Literární noviny”. W tym drugim wypadku dziwne to jest o tyle, że szefem działu krytycznego jest tam Jan Lopatka, jeden z redaktorów wspomnianego przez pana „Kritického sborníka” – a był to periodyk rzeczywiście na najwyższym poziomie. Dowiedziałam się niedawno, że wkrótce ukaże się reedycja dotychczasowych numerów, czy też obszerny wybór publikowanych tam materiałów. To dobry pomysł, niemniej wolałabym, żeby „Kritický sborník” nie poprzestał na przeglądzie z przeszłości.

Osobiście sądzę, że z czeską krytyką literacką dzieje się mniej więcej to samo, co z pisarzami. Nasi najwybitniejsi krytycy zaangażowali się mocno w życie publiczne, ale robiąc dużo rozmaitych pozytywnych rzeczy – zaniebują jednocześnie swój ogródek. Krótko mówiąc – ci, którzy powinni zajmować się krytyką, nie mają dla niej czasu, ci zaś, którzy ją uprawiają, z reguły nie mają odpowiednich po temu kwalifikacji.

*Można zatem powiedzieć, że zarówno w obrębie twórczości oryginalnej, jak i krytyki trwa rodzaj remanentu...*

– Owszem, ale z wyłączeniem tej najmłodszej generacji, która właśnie teraz zaczyna sobie torować drogę, chce jak najmocniej zaakcentować swoje istnienie. W odniesieniu do reszty – fakt, trwa remanent, no, może z wyjątkiem Hrabala, który ciągle pisze te swoje refleksyjne prozy.

*W opublikowanej także w Polsce książce Jiříego Lederera Czeskie rozmowy jest między innymi wywiad z Panią. Powiedziała tam Pani „Przeczytawszy Joyce’a uświadomiłam sobie, że gdybym go poznała wcześniej, mój własny rozwój literacki przebiegałby szybciej”. Czy zdaniem Pani literatura może wywierać także inny wpływ, na przykład kształtować obraz danego narodu w oczach innych nacji? Jeśli tak, to które dzieła literatury czeskiej są najbardziej „reprezentatywne” dla Czechów? Dodam tylko, że Polacy patrzą na ziomków Pani na ogół przez pryzmat Szwejka...*

– To niezwykle skomplikowana sprawa. Przyznam się, że sama dobrze nie wiem, czy moje widzenie Czechów jest właściwe i z tym zastrzeżeniem odpowiadam na pańskie pytanie.

Najpierw muszę wspomnieć o kilku warstwach czy poziomach czeskiej mentalności. Pierwsza z nich ma bez wątpienia „szwejkowski” rodowód. Chodzi tu o traktowanie kłopotów w humorem, bagatelizowanie spraw ważnych, umiejętność robienia uników oraz niepoczucie się do odpowiedzialności. Te cechy, tak bardzo skumulowane w Szwejku, niekiedy były dla nas jedynym ratunkiem, a kiedy indziej, przynajmniej w moim odczuciu, przynosiły nam hańbę. Faktem jest jednak, że Przgody dobrego wojaka Szwejka nadal pozostają w Czechach dziełem narodowym, rodzajem ostatecznej instancji, do której odwołujemy się

Poniedziałek, 22 stycznia 1979

W nocy, nie wiem czemu, nie mogłem spać, chyba że sześć razy chodząc popijać to mleko, to piwo, myślałem, że przyczyną mojego rozdrażnienia jest jakaś chemia\*. Nie czulem zmęczenia, wręcz przeciwnie, podekscytownie i napięcie. Jakbym późno wypił mocną kawę, choć właśnie po niej dobrze śpiam, ale nic takiego nie miało miejsca, tylko dawno, po południu, herbata u Edy Krise[ovej]. Potem wszyscy, wraz z naszym hamburczykiem, poszliśmy na pantomimę, która bardzo mi się podobała, a po niej, całkiem grzecznie i zupełnie wcześniej rozeszliśmy się do domów. Teraz zadaję sobie pytanie, czy moje silne rozdrażnienie nie jest wynikiem stroboskopowego efektu, który Hybner stosuje tam z brutalną skutecznością.

Łamałem sobie w nocy głowę i mówiłem sobie, że przeciw takiemu człowiekowi jak ja buntuje się nawet jego biologia wraz z całą neurologią. Właściwie nie czuję, że się męczę, a potem jestem zmęczony. Właściwie nie boję się, a drzę, jakbym się bał. Właściwie nie męczy mnie jakoś szczególnie mówienie przez cały dzień po niemiecku,

Ludvík Vaculík

## Sennik czeski

a potem w nocy różne zdania wracają i wracają, natrętnie domagając się gramatycznej korekty, z czego widzę, jak mnie to wyczerpało. Jeszcze trzy lata temu mogłem podczas przesłuchania zapanować nad zbliżającym się potwornym bólem woreczka żółciowego, posługując się cichymi zaklęciami i prośbami, w które wkładałem całą siłę woli, podczas gdy na czoło występował mi pot, za który następnie wstydzilem się. Ostatni rok odbieram jako rok przelomowy dla sił, możliwości, rozumu i czasu. Na pierwszy rzut oka wszystko jest, także dla mnie, po staremu. Są więc wyraźne prognozy, które kolejno przekraczamy. Z dwuletnim opóźnieniem nadeszła pięćdziesiątka, chyba tak, no bo co.

Jiří Gruša ma radosne dni. Dostał niemieckie wydanie swego *Kwestionariusza* i równocześnie czeskie od Škvoreckich. Cieszy się uroczą, jak dziecko, i widzę, że wszyscy dokoła z serca i mądrze mu życzą pomyślności. Ivan [Klima] oprócz sławy prorokuje mu też pieniądze, lecz nie ma odwagi odgadywać – ćwierć miliona czy pół. Śmiejemy się. Jiří zabawnie zaciera rączki, odgrywa scenę wiary w prorocтва Ivana i mówi: „No to nareszcie rzucę tę spóldzielní!”

Prowadziłem więc w nocy obowiązkowe badania (nigdy nie pójde do psychiatry) także w tym kierunku, czy aby nie kęsa mnie wściekła zazdrość. Ale wynik znowu znajduję ten sam: chwała Bogu, nareszcie Jirka ma to, co mu jakoś obiecywałem, prowadząc na nasze „manowce” – do wydawnictwa Jürgena, które kazało mu czekać i czekać. To tak, jakby podtrzymać kogoś na duchu obietnicą zaskakujących widoków już za tamtą górką, potem się tam dochodzi – ten ktoś jest zachwycony, a wam zostaje już tylko obawa, czy aby dostatecznie.

I tak raz jeszcze stwierdziłem, że mnie już chyba brak niezbędnych do pisania ambicji. Poczucie obowiązku, które także jest nieodzowne, umiem ugłaskać tym, że jednak robię to i owo. Czuję się bardzo zajęty. Ale

\* Fragmenty pochodzą z książki *Český snář*, Toronto 1982.

w nocy czasami przychodzi mnie coś dręczyć, i miewam wtedy potrzebę – bo trudno powiedzieć, że ochotę! – zapalenia światła, siadania i pisania czegośkolwiek. Tej nocy znowu. Lecz nie zrobiłem tego, bo by mi się rodzina wystraszyła. Tak, pisać od wieczora do późna w noc czy nawet do rana, to jest w porządku. Ale zacząć w środku nocy czy nawet nad ranem – choroba! I ja to wiem. Dlatego w nocy postanowiłem odłożyć to gorączkowe pragnienie do dzisiejszego wieczoru. Więc znowu zaczęłam pisanie tych notatek? Przez całe lata odrzucałem tę myśl!

Na jutro mam regularne, comiesięczne wezwanie do bezpieki „w sprawach urzędowych”. Bez cudzysłowu najlepiej określić to słowem pogroźki. Przywykną do tego, jakby nie było niczym szczególnym – nigdy się nie da.

Temperatura dziś trochę się podniosła, jakby zbliżała się odwilż. A ja nosiłem się z myślą napisania jeszcze o tej „strasznej zimie” felietonu. Oby mnie nie ubiegła wiosna!

Środa, 24 stycznia 1979

Dzisiejsze popołudnie znowu stracone na bieżanie wokół książek. Jedną paczkę

zawieźć autorowi, żeby podpisał strony tytułowe, włożył do tekstu fotografie i potem zaniósł sam do oprawy tam a tam. Pytam, do kiedy to załatwi. No... kiedy robi te fotografie... Domyśliłem się, że chłopak nie ma pieniędzy na materiały; dam mu z góry sześćset. Potem tramwajem na drugi koniec miasta, gdzie mam dziś odebrać oprawione almanachy. Spojrzawszy na zegarek widzę, że już nie zdążę, bo za chwilę mam się pod Rudolfinum spotkać ze Zdeną, która odda mi kolejne przepisane rzeczy.

Idę pod Rudolfinum, ciągnie tu przenikliwym chłodem. Przechodzę, a tu zatrzymuje się przy mnie zielone auto, jest w nim Zdena.

– Pomyślałam, że musisz wpaść tu i ówdzie, więc wzięłam samochód.

Tak, a zaoszczędzony czas będzie dla niej. Ale to nieporozumienie, przynajmniej dziś. Jedziemy przez centrum Pragi, ulice pokryte posoloną breją są pustawe, tym łatwiej obserwować samochody za nami.

– Jak ci poszło? – pytam.

Zdena wzięła dziś sobie w pracy urlop na lekarzy.

– Co tam! – pacnęła ręką po kierownicy.

– Słuchaj, nie będziemy o tym mówić. Żyjemy! – powiedziała radośnie, wskazując światła na skrzyżowaniu, jakby to była ukwiecona łąka. Te euforyczne okrzyki mogły u niej po chwili przejść w ciężką, milkliwą depresję, wystarczyło, żebyśmy upierali się przy pytaniu: No i co ci powiedzieli? Jedziemy do introligatorni po almanachy. Zdena świetnie się do tego nadaje, bo R., który je dawał do oprawy, podał, nie wiem po co, zmyślony adres kobiecy. A teraz przyszedłbym po nie ja, którego znają, i dopiero przez tę zabawę w chowanego mogliby się zaniepokoić ci Bogu ducha winni ludzie.

Zatrzymaliśmy się w pewnej odległości od zakładu, dałem Zdenie zamówienie plus dwieście pięćdziesiąt koron i poszła. Rozglądam się, nigdzie w pobliżu nie zatrzymało się żadne auto. Paczka była bardzo ciężka, wartości ponad dwa tysiące, co wzrosło teraz o dwieście pięćdziesiąt koron.

Nie będzie rozsądne branie jej do domu po wczorajszym ostrzeżeniu!

Zatrzymaliśmy się więc u M., gdzie zostawiłem paczkę i umówiłem się, że przyjdę jutro po południu i zrobimy sobie kółko prac ręcznych. Teraz, kiedy tak gładko i szybko poszło, żalowałem, że nie wziąłem ze sobą do oprawy *Moich lat w Dijon*, które trzymam pod stołem. Ale bałem się manipulowania równocześnie dwoma rzeczami, które mógłbym stracić. I głupio by mi było, gdyby pani z zakładu intrologatorskiego zadała sobie pytanie, jak to jest, że czy chodzi o jakiegoś Václava Černego, czy o Alenę Nowakovą, zawsze to jestem ja.

Zdena spytała, gdzie teraz chcę jechać (przynajmniej dwadzieścia koron na benzynę doliczyć do almanachów!), zażyczyłem sobie na Novodvorską do Gruży. Jirka czytał oczywiście swoją niemiecką książkę i szukał błędów w przekładzie. Żadnych poważniejszych ponoć nie ma, drobnych jest sporo. Zdena rozmawiała w pokoju z Ivanką, ganiały tam psy i synek Václav (przeze mnie nazywany umyślnie Walterem – żeby się nie stał czeskim królem, jak marzy się żądnemu sławy Jirce), tupał po całym

Czwartek, 25 stycznia 1979

[...] W grudniu napisałem *Uwagi o męstwie* i zadedykowałem je Karolovi Peckce z okazji pięćdziesiątych urodzin z prośbą, żeby mi dał swoje uwagi, bo zamierzałem je potem puścić w obieg. Dla mojego tematu – odważa u jednostek wyjątkowych i w masie ludzi przeciętnych – Pecka wydawał mi się być ekspertem: jedenaście lat w więzieniu, skromny, wolny od nienawiści, neuroz i jakiegokolwiek pozy, stylem życia bardziej zbliżony do zwykłych ludzi niż inni, tak samo znani opozycyjni pisarze... Przyszedł wzburzony, ale ja mu niektóre rzeczy wyjaśniłem, coś zmieniłem, a coś samo odpadło zgodnie ze znanym zjawiskiem przyrody, że kiedy dopadniemy przeciwnika, to już sama jego chęć zastanowienia się nad naszą krytyką wycisza ją.

Potem wszyscy się już z moim tekstem zgodzili albo nawet chwalili mnie – od Madli przez Karela Kosika po Alesandra Klimenta i Helenę Klimovą. Z lękiem i trwogą posłałem ten tekst do Brna. Do tej pory nie mam stamtąd wieści. Jiří Müller, Jan Tesář...! Petra Pitharta zastał mój tekst przy pracy nad sformulowaniem własnych,

nierzadko zbieżnych sądów. Okrężną drogą doszło jednak do moich uszu, że w środowisku Karty [77] są na ten temat spory. U Pithartów zaszerwowano mi także zdanie, jakie padło w jakimś towarzystwie: „Zanim jeszcze Vaculika zdemoralizował Martinovský...”. W tym czasie mój artykuł był już na pewno czytany na bezpiecze, a ja truchlałem, że jeszcze znajdzie się tam jakiś nadspodziewanie bystry czytelnik, który polapie się w tym, jaką ma szansę. Otkę wzięła, zaniósła, przeczytała, nic. Aż po jakimś czasie: „Stary, niektórzy mają poważne zastrzeżenia i nie bez racji!” W zeszłym miesiącu powiedziała, że także Gruża się zeżlił, podobno nawet pisze mi odpowiedź i ma już sześć stron.

Kiedy mi Jirka oznajmił, że po freudowsku się na mnie wściekł, wiedziałem za

OSKAR KOKOSCHKA



mieszkań i wszystko psuć: złamał antenę od tranzystora, rozlał herbatę na biurku... Ja tymczasem załatwiłem coś z Jirką, przy czym większość rzeczowników, cyfry i niektóre czasowniki przekazywaliśmy sobie pisemnie ołówkiem. Z tego mojego zachowania większość przyjaciół się śmieje, ale zdążyłem już rozbić ich jednolity front. Był wieczór. Zaszedłem jeszcze do Otki Bednářovej, która mieszka prawie naprzeciw, ale nikogo nie było w domu. Mam wrażenie, że Otkę się na mnie gniewa i wiem dlaczego. Wróciłem do Gruży po Zdenę, która następnie zawiozła mnie do domu. Jiří domagał się opowiedzenia mu, czego ode mnie chcieli na bezpiecze. Opowiedziałem mu więc pokrótce, po... inieniem i tutaj, ale okropnie mi się nie chce.

Nasz Ondřej robił dziś prawo jazdy. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie zdał egzaminu, odpadła podobno połowa, ale on odczułby to dotkliwiej. Jana znowu wezwali do dyrekcji zakładu na rozmowę. Był tam z pięciu innymi, którzy zdali maturę w technikum i rozmawiano z nimi życzliwie: dadzą im skierowania na studia, od trzeciego roku nawet stypendia, jeśli zobowiążą się zostać w zakładzie. Cała nasza rodzina jest tym zszokowana. Obawiamy się jednak, że wiemy więcej niż cały zakład: naszego Jana nie wolno im będzie puścić.

co i chciałem o tym porozmawiać. Powiedział, że zaczął pisać odpowiedź, ale ją potem podarł, bo przecież tak nie można.

– Co nie można? – spytałem.

– Żebyśmy my dwaj...

Musiałem dokończyć za niego zdanie:

– ...Kłócili się na oczach służby bezpieczeństwa?

Rozmawialiśmy na placu Malostranskim, czekając na tramwaj.

Powiedziałem, że skoro raz określiliśmy się jako ludzie wolni, przez Kartę i na inne sposoby, to powinniśmy korzystać z wolności na swoim terenie. Nie możemy przemilczać niektórych spraw tylko dlatego, że słyszy nas ubecja. Jerzy zgodził się z tym, ale mój artykuł ponoć nie nadawał się do takiej otwartej dyskusji z jednej jedynej przyczyny: bo był niewiarygodnie podły. On sobie zrobił czysto semantyczną analizę tekstu i mógłby mi udowodnić, że zastosowałem te same haniebne metody dziennikarskie, których w 1977 roku użyło „Rudé Právo” przeciw mnie.

To mnie strasznie speszyło. Nadal jednak chciałem, żeby mi choćby z pamięci zarysował najistotniejsze elementy swojej krytyki. Wyciągnął z teczki papiery, byliśmy już w tramwaju, i przytłumionym głosem czytał. Widziałem, że miał tam trzy początki „Miły Ludviku!”. I dużo skreśleń. Otarłem

dokończenie na s. 8

## Jiří Kolář

### Referencje

Ja

Svatopluk Czech zamieszkały obecnie w Obrzistvi stwierdzam niniejszym iż p. Anna Novakowa posługiwała w naszym domu lat z górą osiem i przez cały ten czas zarówno ja jak i moja siostra byliśmy z niej w zupełności zadowoleni jako że odznaczała się wzorową uczciwością gorliwością solidnością i wiernością. Opuszcza służbę u nas jedynie z przyczyny naszych przenosin w inne miejsce. Mogę ją przeto jako znakomitą służącą sumienną i zdątną pod każdym względem gorąco polecić

Obrzistvi, dn. 3 sierpnia 1903 roku

### Jak możesz tak bezczelnie kłamać?

– Pracuje, nie ma żadnych sęków w fabryce i daje ile trzeba na żarcie?  
Dziewczyno kochana,  
ciesz się, że ci tylko wymyśla!  
Pokaż mi chłopa, co nie rżnie w karcieta,  
nie chleje i nie lata za spódniczkami.  
Przywlecze ze sobą koleżków  
i będziesz koło nich skakać,  
potem zacnie cię prać  
sprowadzi inną,  
ale wszystko zniesiesz lepiej niż samotność.  
Trzymaj się dziecka jak kleszcz,  
póki będzie widział w nim siebie, jesteś górą.  
Mnie chcesz mówić o piekle?  
A inne? Idź, popytaj się!  
dowiesz się o istnych gehennach.  
Wszystkie chłopy jeden diabeł,  
ileż razy wiązałam sobie pętlę,  
chwyciłam nóż, puszczałam gaz,  
sam mi otwierał okno, jak groziłam, że wyskoczę.  
Raz nie odezwał się słowem pół roku,  
musiał mu dopiero umrzeć brat,  
żeby szedł przez chwilę obok mnie.

### Siedziało mi na karku trzech szpicli

hrabia Deym  
nadkomisarz Konrad  
i cenzor Zimmermann  
Ten ostatni był najbardziej natrętny i najniebezpieczniejszy  
Chodził za mną dzień w dzień  
brał mnie na spacer  
wypytywał co czytam  
co piszę  
zmuszał do rozmów  
i sam mówił to co by chętnie ode mnie usłyszał  
W końcu zmęczony i zdesperowany moimi unikami  
wziął mnie któregoś dnia przyjaźnie za rękę  
i przejmującym głosem zapytał:  
– Braciszku, jak długo jeszcze trwać będzie  
panowanie Austrii?  
– Braciszku, odmawiajmy co dzień różaniec  
za to żeby trwało wiecznie! –  
odpowiedziałem równie słodko  
– Ależ dlaczego? – zdziwił się  
– Dlatego że gdyby go nam zabrakło,  
zaraz następnego dnia wpadlibyśmy w łapy Prusaków! –  
mówię z uśmiechem i od tego czasu dał mi spokój

wiersze w przekładzie Leszka Engelkinga

Jiří Kolář (ur. 24 września 1914 roku) – czeski poeta i prozaik, światowej sławy artysta plastyk. Jego pierwszy tomik wierszy pod tytułem *Świadectwo chrztu* ukazał się w 1941 roku

**T**rudność pisania o czeskiej powojennej literaturze katolickiej polega głównie na tym, że trzeba się odwoływać do faktów, które tylko w niewielkim stopniu są znane – choćby mgliście – polskiemu czytelnikowi. Zresztą, stan wiedzy przeciętnego czeskiego (odbiorcy) też nie przedstawia się lepiej, ale to, oczywiście, słaba pociecha. Nieobecność tego właśnie obszaru literatury w świadomości naszych południowych sąsiadów najlepiej oddają tytuły niektórych książek i opracowań emigracyjnych lub powstałych w drugim obiegu, na przykład *Ukryta twarz literatury czeskiej (Skrytá tvář české literatury)* Zdenka Rotreka, *Twarze w cieniu (Tváře ve stínu)* Zdenka Kalisty czy *Poeci w cieniu szubienicy (Básníci ve stínu šibenice)* Antonína Kratochvíla – wybór utworów trzydziestu więzionych pisarzy; tegoż samego autora *Via Dolorosa* – antologia wierszy Zdenka Rotreka, Václava Renča i Josefa Pálivca, poprzedzona wstępem o znamienym tytule *Poezja za kratami (Poezie za mřížemi)*. Już przegląd tytułów uzmysławia nam, z jakim sposobem bytowania literatury, a raczej z jaką formą jej niebytu mamy do czynienia.

Przez ponad cztery dziesięciolecia wszelkimi dostępnymi metodami, nie wyłączając szubienicy i więziennych krat, usiłowano ją unicestwić albo przynajmniej ukryć w głębokim cieniu. Po „zwycięskim lutym” 1948 roku, ciemność, jaka zapadła nad Kościołem katolickim w Czechosłowacji, trwała de facto aż do ubiegłorocznej „aksamitnej rewolucji”. Posługując się dalej metaforą, można powiedzieć, że w ciągu tego długiego okresu ciemności słońce wyjrzało tylko raz i to na krótko – mniej więcej w latach 1965–1969, by zaraz potem zniknąć za czarną chmurą husakowskiej „normalizacji”. Tak więc po drugiej wojnie światowej czeska literatura katolicka możliwemu jawnej, oficjalnej egzystencji miała dwukrotnie; w wymienionym już okresie bezpośrednio poprzedzającym Praską Wiosnę (i jeszcze przez blisko rok po jej upadku) oraz wcześniej w latach 1945–1948, do momentu objęcia władzy przez komunistów.

Wściekłość stalinowskich wasali nad Węłtawą i Dunaju największe ujście znajdowała w prześladowaniu duchowieństwa i świeckich katolików, zwłaszcza inteligencji, w systematycznym niszczeniu elity, także protestanckiej. Po likwidacji wydawnictw i czasopism religijnych przyszła kolej na samych

twórców – poetów, krytyków, dziennikarzy, naukowców. Lista strat jest przerażająca. Kiedy przegląda się dzisiaj cudem ocalałe egzemplarze miesięcznika „Akord” z lat 1945–1946, nie sposób oprzeć się wrażeniu, że było to wówczas na obszarze Europy Środkowo-Wschodniej jedno z najbardziej ambitnych pism literackich. Oprócz rodzimych autorów, takich jak: Ivan Diviš, Jan Dokulil, Jan Čep, Miloš Dvořák, Bedřich Fučík, Zdeněk Rotrekl, Vladimír Vokolek, Ivan Slavík czy wreszcie Jan Zahradníček (naczelnym redaktorem *Akordu* drukowano tu przekłady dzieł wybitnych pisarzy obcych: Paula Claudela, Williama Butlera Yeatsa, Stephena Spendera, Richarda Livinstone’a, Wsiewołoda Roźdiestwieńskiego, a także Cypriana Kamila Norwida. Niestety w ciągu

którego śledztwa przez służbę bezpieczeństwa w imieniu partii ludu pracującego (prof. Josef Koutný, dr Marjanka, teolog Josef Toufar), był to czas skazywania ludzi na dożywocie i wieloletni pobyt w odosobnieniu (arcybiskup Josef Beran i inni) [...]. Na ławie oskarżonych w kwietniu i lipcu 1952 zasiadło ponad dwudziestu niekomunistycznych czeskich poetów, pisarzy, profesorów uniwersytetu, krytyków literackich i przedstawicieli inteligencji z najrozmaitszych dziedzin i o różnych orientacjach politycznych [...] prawdziwe indywidualności twórcze – uzupełnia nieco dalej Kratochvíl – jeśli nie znalazły się w więzieniu, same zamilkły (František Langer, Václav Černý, Jaroslav Durych, Jaroslav Seifert, A.C. Nor czy Jakub Deml)”.

Oto – w wielkim skrócie – ponury kontekst

dzieła Stwórcy, nostalgii za utraconym rajem dzieciństwa, przywiązanie do obyczaju, obrotu, tradycji, a – większe wyczerpanie na nadciągające zagrożenia, nieomal prorocze dostrzeżenie przyszłych katastrof i tragedii ludzkości. I dlatego zaraz po zakończeniu wojny pisarze katolicy czuli powinność osądzenia każdego z totalitaryzmów – i tych już spełnionych (hitlerizm), i tych, które dopiero zawiły nad Czechosłowacją (komunizm).

Znamienny jest tutaj głos wybitnego krytyka, Miloša Dvořaka, który w roku 1946 na łamach „Akordu”, krytycznie oceniając tomik Vladimíra Holana *Dzięki Związki Radzieckiemu (Díky Sovětskému svazu)*, ostrzegł przed naiwnymi uproszczeniami: „Boga nie ma, ale za to istnieje Armia Czerwona, wywołicielka świata – taki wnio-

Andrzej Babuchowski

# Światło w mroku

jednej nocy, jednym pociągnięciem pióra nowe władze zlikwidowały najbardziej znaczące pisma filozoficzne, kulturalne, religijne i polityczne, od „Akordu” poprzez „Kritický měsíčník” po „Vyšehrad”. Na makulaturę przeznaczono ponad 27.500.000 książek, podręczników i innych druków. Tym samym, w ciągu jednej nocy z obszaru czeskiej kultury zniknęły najwybitniejsze osobistości wyznające odmienne od oficjalnego światopogląd. Na podstawie materiałów udostępnionych w okresie Praskiej Wiosny udało się ustalić, iż zakazem publikacji objętych zostało trzystu pięćdziesięciu sześciu poetów, prozaików, autorów książek dla młodzieży, zwłaszcza literatury skautowskiej oraz religijnej.

„Lata pięćdziesiąte – stwierdza w swoim szkicu »Poezja za kratami« Antonín Kratochvíl – zaznaczyły się serią samobójstw byłych trockistów i lewicowych intelektualistów (Jiří Frejka, Saša Machov, Karel Teige, Konstantin Biebl), ale były to także czasy wyroków śmierci, morderstw popełnianych w tra-

polityczny, w którym (mimo wszystko!) rozwijała się czeska literatura katolicka po drugiej wojnie światowej. Jak na tak krótkotrwałe przeżycie wolności w ciągu całego czterdziestopięcioletnia, jest ona zdumiewająco bogata i różnorodna (obejmuje wszystkie niemal gatunki, od publicystyki po dramaturgię). Trzeba jednak zauważyć, że wcale niemała część tego dorobku zrodziła się dosłownie „za kratami”. Swoisty genius loci nie tylko przyczynił się – paradoksalnie – do zachowania ciągłości, ale poszerzył tę literaturę o dodatkowy wymiar ludzkiego doświadczenia.

Martyrologia, choć niewątpliwie obecna jako temat literacki, nie przerodziła się jednak w obsesję czy kompleks cierpiętnictwa. Nawet tak okrutnie doświadczony przez los (oprócz pobytu w więzieniu – tragiczna śmierć dwóch córek) Jan Zahradníček mówi o bólu eliminuje krzyk.

Cechą charakterystyczną czeskiej literatury katolickiej w latach 1945–1948 jest – oprócz wysokiego poziomu zarliwa obrona tych samych wartości, które przed wojną zapewniły jej nieklamany autorytet społeczny (co przy antykatolickim nastawieniu wielu Czechów epoki Masaryka było nie lada sukcesem). Nie bez racji mówi się też o ludycznym rodowodem owej literatury, choć jednocześnie czerpała ona obficie ze współczesnej chrześcijańskiej myśli Zachodu i była otwarta na różnego rodzaju eksperymenty. Jeśli zajrzemy do metryk znanych pisarzy, to stwierdzimy, że większość z nich pochodzi ze wsi lub z małych miasteczek i to w dodatku położonych blisko siebie – na przykład niedaleko Morawskiej Trzebnicy urodził się Miloš Dvořák, Bedřich Fučík, Jan Dokulil, Jakub Deml czy Jan Zahradníček. Na wsi mieszkał także Josef Florian, znakomity tłumacz, krytyk, wydawca i propagator literatury. Jego silna osobowość promieniowała na całe międzywojenne pokolenie pisarzy katolickich – w epoce szerzącej się dechrystianizacji, wieś, konkretnie wieś morawska, kraina łagodnych pagórków pokrytych lasami stanowiła jak gdyby naturalną enklawę silnej, tradycyjnej religijności. Pisał o tym Jakub Deml:

„W czasach mojej młodości rano i wieczorem wszystkie Twoje dzieci – mężczyźni, kobiety i starcy – z pokorą kłękaly. Modlitwą zaczynało dzień i modlitwą kończono. Wesoło i radośnie szło się do pracy. Kto mógł, chodził do kościoła, nawet w dzień powszedni [...] Bóg był wodzem naszego narodu. Bóg był ponad wszystko” (przekład A.S. Jagodziński).

Nic dziwnego, że w tej sytuacji jednym z głównych rysów czeskiej literatury katolickiej był jej szczególnie rustykalizm – miłość do przyrody i całej natury, pojmowanej jako

sek zdaje się wypływać z poematu Holana [...] Odbieram to jako przejaw radosnej reakcji na wyzwolenie z największego niebezpieczeństwa, które zagrażało istnieniu naszego narodu. Ale równocześnie mam świadomość, że ludzkość wcale jeszcze nie osiągnęła prawdziwej wolności tylko z tego powodu, iż Niemcy zostały położone na łopatki [...] Usunięto wprawdzie jedną z przeszkód, lecz inne tkwią w dalszym ciągu i zaczynają nabierać niebezpiecznych rozmiarów. Prawdziwa wolność może wyrastać jedynie z moralnego doskonalenia się człowieka i narodu. Dzieło wolności wymaga wielkiego duchowego wysiłku wszystkich narodów, w tym także zwiększonego wysiłku naszego narodu, ponieważ nasza sytuacja stawia przed nami wyższą miarę odpowiedzialności”.

I właśnie ocena owej „sytuacji” polaryzuje coraz bardziej i coraz dramatyczniej stanowisko twórców pierwszych lat powojennych.

Materializm dialektyczny i katolicyzm. „Między tymi dwoma frontami – pisze Miloš Dvořák – rozegra się prawdopodobnie duchowy bój o przyszłość. Naszym gorącym pragnieniem jest, aby w tym boju rzeczywiście walczone wyłącznie bronią ducha, nie zaś jakąkolwiek inną”.

Niestety „walka” na dzieła i argumenty trwała bardzo krótko, niespełna trzy lata. W tym czasie Zdeněk Rotrekl opublikował swój trzeci tomik wierszy *Pergaminy (Pergaminy, 1947)*, rodzaj wielkiej metafizycznej przygody oraz wydał *Wielkanocny almanach poezji*, zawierający utwory pisarzy będących w opozycji do „upanstwowionego” realizmu socjalistycznego – głównie z kręgu brneńskiego „Akordu” i ołomunieckiej „Archy”. Znakomity eseista, poeta i badacz kultury Zdeněk Kalista zaznaczył swoją obecność *Związką historią Czechosłowacji (1947)*, a František Křelina (oprócz paru książek dla dzieci i młodzieży) zdążył opublikować powieść-pamflet *Nad brzegami Botyca Na březích Botiče, 1948*. Ivan Slavík, poeta, tłumacz i wybitny znawca kultur prekolumbijskich zadebiutował tomem *Zdjęcie z krzyża Snímni, 1947*, natomiast prozaik Jan Čep w pierwszych latach po wojnie nie wydał już żadnej książki, gdyż bardzo wcześniej wyemigrował. Z twórców orientacji katolickiej najwięcej, bo aż trzy tomiki udało się opublikować Janowi Zahradníčkowi; *Stara zemla (Stara země, 1946)*, *Święty Wacław Swatý Václav, 1946* i *La Salette (1947)*, ale właśnie ten ostatni zbiorek stał się później obiektem szczególnie agresywnej krytyki i napaści podczas procesu sądowego, w wyniku którego poeta skazany został na 13 lat więzienia;

„...Oskarżonemu solą w oku był socjalizm i postępek. Poprzez swoje zapatrywania ujawnił się jako watykański sługus, podziwiający

Jan Zahradníček

## Westchnienie

Jak to już dawno,  
gdy dzikie gęsi po bezkresnym niebie wiosłowały na południe.  
A my z nostalgią jesieni w oczach  
posyłałyśmy przez nie pozdrowienia  
tam do domu.

Teraz nastał wilgotny luty i kos próbuje nieśmiały trel,  
kartka w kalendarzu obraca się  
zapisana gęsto ponurym pismem zdarzeń  
a ja wciąż nie wracam  
do twoich ust do rąk twoich  
na puste miejsce u twego boku.

Oddalenie i czas  
oddalenie i czas ręką bluźnierczą  
naruszają układ pomiędzy mężczyzną a kobietą i nie liczy się żadne słowo  
w tym świecie podszytym ciemnością. I tylko westchnienie  
samotności napina  
ostatnie żagle tęsknoty  
ku domom  
odleglejszym niż Wyspy Wielkanocne

(wiersz ze spuścizny „więziennych”, zamieszczony w tomiku *Dům Strach*, wydanym w Toronto w 1982 roku)

Z czeskiego przełożył Andrzej Babuchowski

feudalizm i nienawidzący klasy robotniczej. Jeśli jego tomiki zawierały taką wymowę już przed wojną, to jego powojenne prace, na przykład *La Salette*, mają ewidentny i wprost antysocjalistyczny i antypostępowy charakter..."

We *Wspomnieniach o Janie Zahradničku* Zdeněk Kalista próbuje odtworzyć gęstniejącą, posępną atmosferę końca lat czterdziestych;

„Rozmawialiśmy o tym, nad czym pracujemy i co mamy zamiar napisać. Zahradniček rozgadał się na temat swego poematu *La Salette*, który dotyczył sławnych objawień Matki Boskiej we Francji, mówił też o swym kolejnym zbiorze *Znak mocy*, który ma już gotowy i chce wydać w Vyšehradzie. Była to właściwie rozmowa o modlitwie. Zrozumia-

cy wcale nie zaniechali pisania. W niektórych wypadkach mamy wręcz do czynienia z zaskakującą erupcją, z jakimś gwałtownym nadrabianiem wieloletnich „zaległości”.

I tak na przykład Křelina, po osiemnastoletniej przerwie, wydaje piękną elegijną prozę o wojennej tragedii wsi Lidice i bohaterskim proboszczu Josefie Stemberku: *Każdy swoje brzemie* (*Každý své břímě*) oraz powieść swego życia zatytułowaną *Babel* – rzecz o rozchwianiu tradycyjnych wartości, rozpętaniu nieokiełznanej mocy w człowieku, o niustannym poszukiwaniu zagubionego poczucia bezpieczeństwa, prawdy i dobra. Nad dziełem tym autor pracował ponad trzydzieści lat. Nowele i opowiadania Křeliny zaczęły się znowu pojawiać w czasopiśmie literackich. Rotrekl nazwał go

spisywał przez pewien czas swoje wiersze w małym kąciku, który udostępnił mu strażnik nazwiskiem Stejskal. Habent sua fata libelli! Ale dzięki temu ocalały najwybitniejsze osiągnięcia artystyczne „epoki więziennej”, między innymi *Cztery lata* (*Čtyři léta*, 1969) i wydany w Toronto *Dom Strach* (*Dům Strach*, 1981) autorstwa ostatniego spośród wymienionych tu twórców.

Lata 1965–1969 to także czas przypominania dorobku uznanych pisarzy – bądź już nieżyjących, jak Jaroslav Durych, czy Jakub Deml, bądź też mieszkających na emigracji, jak Jan Čep. Poezję bardzo wysokiego lotu zaprezentował w swych trzech nowych tomikach Ivan Slavík – *Cień trzciny* (*Stín třtiny*, 1965) *Oścień* (*Osten*, 1968) i *Głogowy wiatr* (*Hlohový vítr*, 1968). Twórczość o katolickiej orientacji dość mocno inspirowała wówczas młode pokolenie pisarzy, nad czym bardzo ubolewało komunistyczne „Rudé Právo”; „Dawniej młodzi za swych duchowych ojców uważali Halasa, Seiferta, Holana – dziś mają Zahradnička, Palivca, Renča i Demla”.

Upadek Praskiej Wiosny przerwał jednak w sposób radykalny nie tylko wszelkie działania w sferze sztuki, nauki, oświaty, wynikające z innych niż materialistyczne pobudek światopoglądowych, ale także brutalnie zahamował proces duchowego odradzania się społeczeństwa. Jedynym więc terenem, na którym istnieć mogła nadal twórczość inspirowana wiarą, religią, stała się... emigracja. Trzeba przyznać, iż w jej przetrwaniu czeskie wydawnictwa emigracyjne mają ogromne zasługi. Nie miejsce tu na ich dokładne wliczenie, wystarczy podać parę przykładów. W Monachium nakładem wydawnictwa Poezie mimo domov ukazały się między innymi tomiki Vladimíra Vokolka, Anastáza Opaska, Jana Kostohryza. W Toronto, w wydawnictwie Sixty-Eight Publishers, kierowanym przez Josefa Škvoreckého, opublikowano wspomniany już *Dom Strach*, antologię *Via dolorosa* oraz szkice biograficzne o pisarzach – *Ukryta twarz literatury czeskiej*. Accademia Cristiana w Rzymie wydała *Poetów w cieniu szubienicy* – wybór z twórczości autorów – więźniów stalinizmu, *Rozmowy z macierzanką* Zdeňka Rotrekl, wiersze Zahradnička. Wielką zasługą londyńskiego wydawnictwa Rozmluvy jest pełna edycja poetyckiej twórczości Bohuslava Reynka, zebranej w dwa obszerne tomy, z posłowiem Josefa Hradca, a także wydanie znakomitej książki eseistycznej Zdeňka Kalisty *Twarz baroku* (*Tvář baroka*, 1983), jednego z najlepszych i najbardziej błyskotliwych dzieł, jakie na temat tej epoki kiedykolwiek napisano. Autor po wyjściu na wolność niemal całkowicie oślepl, a mimo to nadal pisał na maszynie i tak „w ciemności” powstała ta erudycyjna, a zarazem pełna wdzięku i poletu książka. Warto zaznaczyć, iż stosunek do baroku od samego początku był jednym z głównych problemów czeskiej literatury katolickiej w jej zmaganiach o nową sztukę. Bitnar, Durych, Toušek, wreszcie Kalista coraz odważniej podejmowali spór o barok – epokę, która przez bardzo długi czas funkcjonowała w świadomości Czechów jako okres „mroku” (temna). Można by zaryzykować twierdzenie, iż w przeważającej części nurt dwudziestowiecznej literatury katolickiej w tym kraju jest ze swego ducha „barokowy” i stanowi niesłychanie atrakcyjną, bogatą i nie zuniformizowaną kontynuację barokowego widzenia świata. Zdaniem Kalisty, najbardziej charakterystyczną cechą takiego widzenia jest *spirytualizacja*, czyli „dążenie do poznania Boga poprzez rzeczywistość zmysłową [...] to, co nas w krajobrazie urzeka, to nie są tylko zewnętrzne barwy i kształty; tutaj przez pejzaż przenika jakiś blask, jakieś niemal cudowne światło, które wskazuje nam na istnienie innej, pozazmysłowej rzeczywistości”. Tej właśnie odmiennej perspektywy ludzkiego losu i sensu istnienia brakowało na ogół utworom wydawanym oficjalnie przez ostatnie dwudziestolecie. Pozostaje pytanie, czy – i jak prędko – wstępujące pokolenie pisarzy wyzwoli się z nalożonych na literaturę czeską więzów i ograniczeń okresu „normalizacji”? I jaka będzie w tym rola literatury katolickiej?

## Jesteśmy narodem anegdociarzy

dokończenie ze s. 4

w momentach szczególnego zagrożenia. Wówczas wertuje się *Szwejk* i wyszukuje analogiczne sytuacje. Wie pan, my, Czesi, ubóstwiamy historyjki, jesteśmy narodem gawędziarzy i anegdociarzy. I w tym sensie *Szwejk* jest miarodajnym obrazem. Zresztą na podobnej poetyce „piwnej, knajpianej pogaduszki” oparł swą twórczość Hrabal, tyle że u niego ten specyficzny słowotok prowadzony jest na wyższym poziomie.

I tu dochodzimy do drugiej warstwy mentalności, do obrazu „filozofującego” Czecha. Ma on jeszcze wiele wspólnego z Czechem „szwejkowskim”, ale jest od niego zapewne sympatyczniejszy, bardzo racjonalny, bardziej „cwany”. Te cechy, moim zdaniem, lepiej od Hrabala wyraził w swojej twórczości Kundera, niezwykle krytycznie oceniając własny naród. Zaliczyłabym też tutaj cały nurt tak zwanej literatury pragmatycznej, z Karelem Čapkem na czele. Właśnie ta literatura pragmatyczna wyrządza według mnie najwięcej szkód, ponieważ utwierdza w nas poczucie historycznego kapitulancja. Pragmatyzm doprowadził nas do Monachium i do innych klęsk, z którymi Polacy – jak sądzę – nie pogodziliby się nigdy. To pragmatyczne podejście zakorzeniło w nas przekonanie, że jesteśmy społeczeństwem, w naturze którego leży skłonność do rezygnacji. Co więcej, że w myśl powiedzenia „bliźsza ciału koszula” słusznie usprawiedliwiamy nasze postępowanie.

I wreszcie trzecia warstwa, reprezentantów której nazwałabym „donkiszotami”. Są to ludzie, jak na przykład Havel, którzy potrafią czerpać z najlepszych pokładów, zarówno tych historycznych, jak i tych tkwiących we współczesnej świadomości przeciętnego Czecha, także owego „*Szwejka*”. Niestety ten sposób myślenia – w kategoriach wyższych idei – nadal jest zagluszany przez „pragmatyków” i zwolenników *szwejkowszczyzny*, chociaż chyba większość zdaje sobie sprawę z faktu, że jest to dla nas jedyny ratunek.

Jeśli chodzi o literacki dorobek tej trzeciej grupy, nie jest on zbyt imponujący. Prócz wspomnianego Havela wymieniałabym tu przede wszystkim twórczość pisarzy katolickich: poezje Jana Zahradnička, prozę Jakuba Demla i Jaroslava Durycha. Ten ostatni ma wprawdzie złą opinię za polityczne lawirancje, lecz jego spuścizna może być dla nas impulsem wzniosłych idei. Cóż, kiedy wniosłość nie jest powszechną właściwością Czechów. Myślę jednak, że w gruncie rzeczy łakniemy jej, wyczuwając, iż pomoże nam ona wybrnąć ze ślepych zaułków *szwejkowszczyzny* i pragmatyzmu i utworze drogę – zabrzmi to może nazbyt górnolotnie – do Europy i świata.

Dziękuję Pani za rozmowę.

21 listopada 1990

rozmawiał Jan Stachowski

Eva Kantuková (ur. 1930), prozaiczka, autorka scenariuszy filmowych. Za „działalność antypaństwową” więziona przez rok na początku lat osiemdziesiątych. Z początkiem 1985 roku jedna z rzeczniczek Karty 77. Za książkę *Przyjaciółki z domu żaloby*, przyrównywaną przez amerykańską krytykę do *Jednego dnia* Iwana Denisowicza Solżenicyna, otrzymała nagrodę Toma Stopparda.



Krzyż kwietny

MAREK SAPETTO

łem, że pozwala ona Zahradničkowi wnieść się ponad rozpowszechniane w prasie insynuacje...”

Cały przygotowany do druku skład *Znaku mocy* został zniszczony. Poemat ukazał się jednak w roku 1968 w Rzymie, tyle że było to osiem lat po śmierci autora. W tym przejmującym, wielowarstwowym utworze, „na scenie obrotowej planety Ziemia” – rozgrywa się misterium dziejów ludzkości. Apokaliptyczną, okrutną wizję zdesakralizowanego świata dopełnia jednak ufność w potęgę Bożego miłosierdzia. Zdeněk Rotrekl uważa *Znak mocy* za jeden z największych poematów naszego stulecia, porównuje go do *Księgi Proroków* i twierdzi, że dzieło to razem z *La Salette* tworzy wzajemnie uzupełniającą się całość.

W latach pięćdziesiątych nurt katolicki na pozór zupełnie zamiera. Poeta i dramaturg Václav Renč skazany zostaje na 25 lat więzienia, František Křelina na 12 lat, Kalista na 15, Rotrekl na dożywocie, o Zahradničku już była mowa. To zaledwie kilka przykładów. Mogłoby się wydawać, iż wszelki spirytualizm został z literatury czeskiej raz na zawsze wyrugowany. Wystarczyła jednak kilkuletnia „odwilż” polityczna (1965–1969), by ujawnił się on na nowo z jeszcze większą niż uprzednio intensywnością, wzbogacony bowiem o dodatkowe wątki tematyczne i pogłębiony intelektualnie. Prześladowani twór-

współczesnym „barokowym romantyzmem”, ożywiający dwa oblicza jednej krainy – dawne i dzisiejsze. Głównym motywem jego twórczości jest tajemnica ofiary, pojedynczej i zbiorowej, a jej siłą – głęboki moralny patos.

W krótkim okresie liberalizacji Václav Renč publikuje nowe tomiki poezji, zawierające wyraźne ślady więziennych przeżyć: *Spożycie z Minotaurom* (*Setkání s Minotaurom*), *Kopciuszka z Nazaretu* (*Pepelka Nazaretská*) oraz obszerny wybór z całej twórczości poetyckiej (uzupełniony o nowe wiersze) *Skowronkowa wieża* (*Skřivančí věž*). Pod koniec lat sześćdziesiątych czeskie teatry zaczęły wznawiać sztuki Renča; *Syn marnotrawny* (*Syn marnotratný*), *CesarSKI mim* (*Císařov mim*), a na brneńskiej scenie odbyła się premiera tragedii *Smutny powrót* (*Hoře z návratu*). W przekładzie tego poety ukazał się też wybór wierszy Cypriana Kamila Norwida.

Jak widać, wielu pisarzy orientacji katolickiej nawet w więzieniu nie pozostawało bezczynnymi. Wiersze Rotrekl, Renča, Palivca, czy Zahradnička uchowały się nieraz tylko dlatego, że sami autorzy je recytowali swoim kolegom – współwięźniom, którzy uczyli się tych tekstów na pamięć. Czasami utwory, zapisywane na papierze toaletowym, ukrywane były w celi pod podłogą. Zahradniček

# Sennik czeski

Ludvik Vaculik

dokończenie ze s. 5

się o młodego Peckę i z wyżyn swej względnej nietykalności nie zauważam, że dziś są zamykani młodzi Peckowie, i że są zamykani zamiast mnie. Posługuję się w swoim tekście trudnymi do zidentyfikowania pojęciami, znaczenie których następnie zmieniam, tak że pozornie logicznymi zdaniami dziergam kłamstwo. Bo czymże jest ta „rota bohaterów”, których postępowanie staje się niezrozumiałe dla „trzęwo myślących ludzi”? Powiniennem zamiast o bohaterach mówić wprost o „garstce samozwańców”, a trzęwo myślący, normalni ludzie będą wtedy owym przez partię kierowanym ludem pracującym. A ta „poczciwa, solidna praca”, do której nawołuję, to przecież nic innego jak wymagana przez państwo i milicję „solidna współpraca”... Z grubsza tyle, a ja próbuję to tutaj uchwycić, bo nie wiem, czy mi kiedykolwiek da swoje opinie do ręki.

Powiedziałem, że bardzo bym sobie życzył, żeby mimo wszystko zechciał swoje poglądy spisać. Zwłaszcza gdyby zdobył się na usunięcie obraźliwych sformułowań, które zepsułyby nasze stosunki, uradowały esbecję i wyzwoiliły demony. Ja tak źle nie mówię nigdy, nawet o esbekach! Jeżeli spróbuje napisać o tych wszystkich sprawach delikatnej natury tak, abym i ja mógł to czytać, chyba stanie przed takim samym zadaniem, przed jakim stałem ja, zwłaszcza gdy ograniczy się do trzech stron, jak ja. A mój błąd polegał już chyba na tym, że o niektórych sprawach na trzech stronach pisać się nie powinno.

Może to i prawda, zastanawiałem się w drodze do domu. Ale długość tekstu zależy od gatunku. Mój gatunek jest znany i był oczywisty także teraz. Już z racji samego wyboru gatunku oczekuje się czegoś i od autora, i od czytelnika.

Myślałem tego wieczora, jak wspaniałomyślnie to przyjąłem i jaki jestem odporny. Ale znowu w środku nocy zdarzyło się to przebudzenie bez powodu i ogarnął mnie lęk przed niepowodzeniem i kurczeniem się czasu, bo ani nie dokończę *Drogi na Pradied*, ani książki o Indianach, i nic mnie nie usprawiedliwi. Najpilniej ze wszystkiego trzeba zrobić *Mili koledzy szkolni*, bo tam będzie wszystko od urodzenia aż do ewentualnej śmierci. To jest absolutnie konieczne; ale najbardziej natęczyłem dla mnie tematem, który mi ciąży, jest to, co mi się przydarza. A wypróbowany stan ducha do pracy to strach, gniew i gorączkowa ucieczka naprzód, ku ostatniemu, szczytowemu zdaniu.

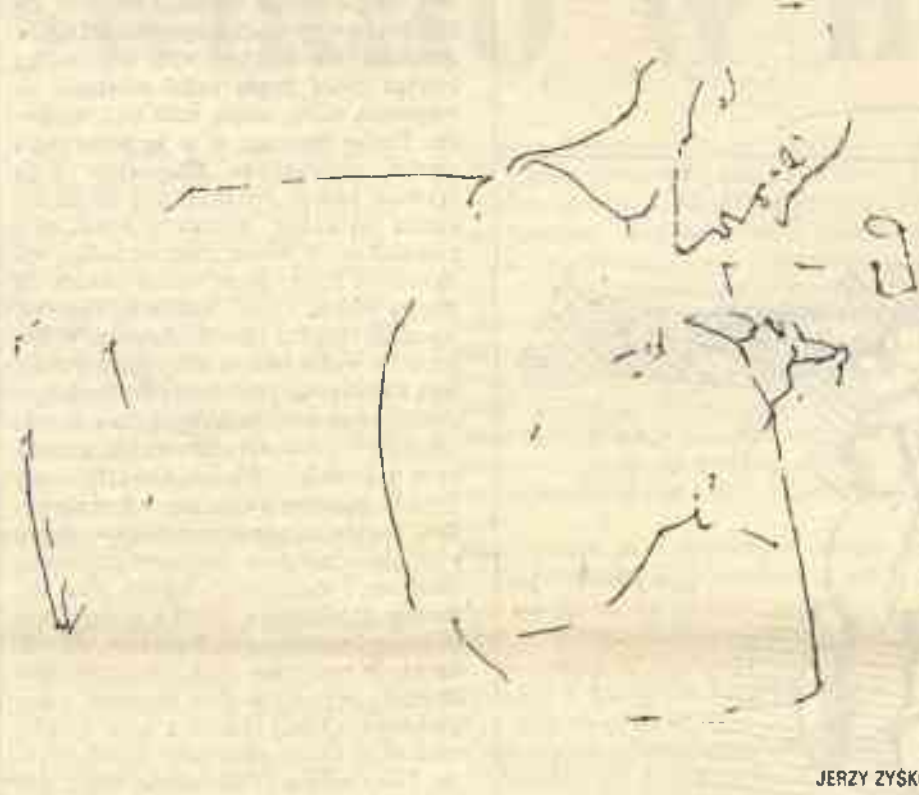
Jest za piętnaście czwarta w nocy, nie do wiary. Miałem sobie to napisać przed południem, ale musiałem przy świetle fotografować dokumenty z dziennika do *Milych kolegów szkolnych*, po południu u M. kleilem ptaszki i wyciąłem kółeczka do almanachu *Godzina nadziei*. Chciałem w tym tygodniu oddać felieton o tegorocznej zimie. Po prostu od chwili, kiedy rano przy gołębieniu patrzę na swą gębę, mam ochotę obciąć nawet te wasy i wrócić w ten sposób do wszystkiego co poprzednie, przed wszystko, co się stało i co do mnie przyszło. Także Jiří mi mówił, że przecież nie mogę zdjąć nagle przed ludźmi ubioru, stroju ludowego czy płaszczka, który kiedyś sam dobrowolnie na siebie włożyłem. Niczego nie wkładałem, a jak mnie ktoś w coś ubiera, niech za to odpowiada sam. Niech każdy jest na tyle dorosły, żeby to wytrzymać. Tylko że jaką męką jest najzwyczajniejsza groźba utraty przyjaźni!

Piątek, 26 stycznia 1979

[...] Wczoraj u Mirki wykańczałem almanachy: przyklepałem na okładkach ptaszki i w obwołucie wycinałem kółeczka, żeby ptaszki były widoczne. Pomagali mi domownicy. Kupiłem do tego litr białego wina,

który doliczyłem do ceny almanachu (korona na sztukę), a i tak nikt by tego tak tanio nie zrobił. Choćby dlatego muszę zarzucić te prace, że czasami czuję się muśnięty podejrzeniem, że coś z tego mam. Ktoś o odmiennej naturze mógłby sobie o mnie pomyśleć: inaczej by tego przecież nie robił! Siódmy rok. Niektórzy odbiorcy zaczynają na mnie patrzeć z wyrozumiałością, jak na pasożyta, któremu chcą pomóc w utrzymaniu jako takiej egzystencji. Tak, a tymczasem moje własne źródła utrzymania giną. Madla powiedziała mi kiedyś, że nasi chłopcy prowadzą za moimi plecami takie rozmowy: To właściwie wstyd, mógłby napisać takie rzeczy, a włóczy się po Pradze z cudzymi bzdurami!

Dziś rozosiłem *Godzinę nadziei*, wróciłem do domu wieczorem i nie było mnie w domu, kiedy przyszła do mnie Otk.



JERZY ZYŚKO

Zostawiła mi list od pana Václava [Havlá], zaczynający się od słów: „Drogi Panie Ludvik!” Jest to polemika z moimi *Uwagami o męstwie*, datowana wczoraj, i już tu jest, mimo że musiała przebieść się przez policyjne obłężenie Hradeczk. Otk. dała Ondřejowi otwarty list do rąk i wyraźnie zaznaczyła, że jest to felieton. Chciała w ten sposób wyrazić życzenie, abym go tak potraktował i obsłużył. O to się bać nie musi! Także pan Václav tylko pro forma pisze mi list; z pewnością zapozna z nim przyjaciół, ale mnie samemu zostawia zaszerogowanie go.

Napisał mi dobrze: w sympatycznym tonie, jasno i trafnie. Nawet nie wiem, z czym bym się mógł nie zgodzić, gdyby jednak nie utkwili mi mocno w głowie powody, dla których swój felieton napisałem. List pana Václava jest celnym zapisem jego kręcenia głową ze zdziwieniem: wie, że wiem to co i on. „Przecież pan wie lepiej niż ktokolwiek inny...” powiada.

„Przecież Pan wie lepiej niż ktokolwiek inny, że Gruša nie musiał siedzieć za *Kwestionariusz*, ale Vaculik mógł siedzieć za *Świnki morskie*... Raz jest taktyczniej zamknąć Grušę i starać się tym wystraszyć Vaculika, kiedy indziej może być wręcz przeciwnie, zręcznie zamknąć Vaculika i starać się tym wystraszyć Grušę... Nie pamięta Pan, że nadal wisi nad Panem – jak zresztą i nade mną – oskarżenie z roku 1969? I czy naprawdę nie uświadomiamy sobie tego, że mogliśmy w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych siedzieć zamiast Šabaty i Hübla właśnie my dwaj? Myśli Pan, że ten tekścik, który wtedy podpisałimy, był tego wart? Bogiem a prawdą nic nie jest tego

warte. Ani ulotki, ani bycie na bału, ani napisanie jakiejś powieści. A cóż dopiero przesyłanie tekstów czeskich pisarzy do pism emigracyjnych! Czy warto było Ledererowi to robić? Dobrze chociaż, że należy do tych myślących bohaterów, którzy się cieszą z „umiarkowanej represji”, przecież nie musiał być skazany tylko na trzy lata, ale na przykład na dziesięć.” – To jest odpowiedź pana Václava na mój pogląd, że obecna władza zamyka – w odróżnieniu od lat pięćdziesiątych, kiedy jej celem było porażenie społeczeństwa – swoich pojedynczych opozycjonistów niechętnie i na krócej także dlatego, że nie chce legitymizować bohaterów, potrzebuje dziś społeczeństwo uspokoić, właściwie znieczulić. W nawiązaniu robię do tego uwagę, że formy protestu mogą prowadzić władze państwowe do większego okrucieństwa.

więc nadejdzie bardziej odpowiedni czas na wypowiedzenie myśli bez względu na jej efekt końcowy? Pan Václav jednak wie to co ja, i tylko dyskretnie, aby to móc pominąć, napomyka o sprawie: „Chyba chciał Pan powiedzieć, że ciche i nie zwracające powszechnej uwagi ponížanie tysięcy anonimowych ludzi to coś gorszego niż zamknięcie od czasu do czasu znanego dysydenta. Bez wątplenia. Lecz czemu zamknięto tego dysydenta?” – pyta, wracając natychmiast do naszego dysydenckiego cyklotronu myśli i czynów.

Kiedy wróciłem dziś do domu, wszyscy już mieli list z Hradeczk. przeczytany.

– Dobrze napisał – mówiła Madla.

– Tak, człowiek to czyta i ma wrażenie, że wszystko gra – mówił Janek.

– Ja jeszcze nie mam skryzalizowanych poglądów – powiedział najbardziej elegancko Ondřej.

– No to jestem ciekaw, jak teraz będziecie odpowiadać na mój list – powiedziałem.

Jedynym człowiekiem, którego niczym nie mogę wprawić w zażenowanie i który wierzy w mój dobry charakter wydaje się być popielato straszny major (?) Fišer, który we wtorek powitał mnie zwykłym zdaniem:

– I cóż to pan znowu wyprawia, panie Vaculik, więc według pana jesteśmy mordercami i u nas strzela się do ludzi?

I podniósł dwoma palcami, jak wężą, moje *Uwagi o męstwie* na żółtym papierze.

Środa, 31 stycznia 1979

Teraz, kiedy już któryś miesiąc z rzędu zajmuję się swoimi pamiętnikami z dzieciństwa, zaczynam je – dopiero teraz – odbierać jako dzieło całkiem innej osoby. I ten chłopiec, muszę powiedzieć, podoba mi się. Przedtem, już dawno temu, kiedy wziąłem pamiętniki do ręki, znajdowałem w nich miejsca żenujące, które należałoby przemilczeć, ponieważ odnosiłem je do siebie. Teraz widzę je jako najzupełniej odpowiednie. Wstyd i pokusa, aby usuwać co napisałem, pojawi się, jak sądzę, gdy dojdę do wieku dojrzałego, kiedy poglądy i oceny tego młodego mężczyzny wyraźniej będą korespondować z moją dzisiejszą kondycją. Optyka wzorów życiowych jest przewrotna: dla tego chłopca w indyjskim pióropuszu może być kimś; a jeśli o mnie chodzi – gdybym to ja był nim.

Byłem dziś w mieście, chciałem z kimś porozmawiać, wstąpiłem do Standy. Kiedy mi otworzył, zauważyłem, że jest przygnębiony. Spytałem, co mu jest. Powiedział, że nagle zasmucili go pantujące u nas stosunki. Poczul to, kiedy Vlasta Chramostová poszła z tą samą diagnozą – stosunki – do szpitala. Stosunki są nieznośne i nie wiem, co bym mógł przytoczyć jako uzasadnienie nadziei. Moja nadzieja jest nieuzasadniona. Kiedy jednak ze stanem obecnym przedniosłbym się w przyszłość, nie chciałbym w niej żyć. Młodzi ludzie żyją z głupoty. A może wiedzą o przyszłości coś więcej, czego ja już nie wiem? Zwykle się ludzi starszych uważać za więcej wiedzających. Dziś jest na odwrót: im jest człowiek starszy, tym mniej tego wie i jego przepowiednie są coraz mniej trafne, przechodzą w nic już jutro. Tymczasem nowo narodzony chłopak przeciwnie, wie wszystko, ponieważ dla niego wszystko jest równie możliwe, wszystko może mu się jeszcze zdarzyć, a nawet udać.

– Nie rozumiem – mówił Standa – czemu wokół twojego felietonu toczą się spory. Dla mnie był całkiem jasny.

– Teraz już ci się nie podoba? – spytałem.

– Teraz już trochę zaczynam rozumieć, że ktoś go może uważać za demoralizujący. Zrozum, ktoś był przekonany, że pomożesz mu się ustawić i nagle nic takiego się nie dzieje.

Powiedziałem, że nie mogę brać zwykłych pochwał zbyt poważnie, skoro właściwie nie wyrażają przemyślanej akceptacji. Vlasta mnie ponoć, mówił Standa, broni tak: do tej pory zawsze z wyprzedzeniem trafiałem w nabrzmiewające problemy, to na pewno i teraz wiem, co robię. Niektórzy mówią, że przyhamowałem, bo „zarzucam kotwicę”; on ani Vlasta w to nie wierzą. O ile jednak utrafić w dzisiejszy problem nietrudno, to określić stosunek do niego jest ryzykowne.



- Taki rodzaj zaufania - powiedziałem - jaki wyraża Vlasta, zawstydzona mnie w równym stopniu co podejrzania. Jedno i drugie ogranicza moją wolność.

To damskie mieszkanie, w którym siedzieliśmy, było bez damy dziwne, sprawiało wrażenie sceny z przerwanej sztuki teatralnej: secesyjne obicia mebli, białe drewno, antyczne lampy. Cieleśnie i duchowo kanciasty Standa był na tym tle zabawny, on sam. Zdecydowałem się coś mu powiedzieć, będzie to jednak tylko dla niego, wolałbym, żeby nikt nie posługiwał się tym do mojej obrony, bo chcę, żeby dyskusja rozwinęła się w całej pełni. Wszystkich swoich opinii, którymi niektórzy czują się teraz dotknięci, byłem świadom: o zamkniętych młodych brnieńczykach myślałem przede wszystkim, kiedy zastanawiałem się nad tym, za co warto iść do więzienia, i wiem, że kiedyś się z nimi zobaczę i będę im musiał coś powiedzieć. Mój artykuł miał na celu coś, co nie tkwi w całości w Słowacji: wyjść z kręgu „dysydentów”. Chciałbym, żeby trafił też do ludzi, którzy już jakoś zaakceptowali stosunki, ale mdli ich od tego, mają wyrzuty sumienia, lecz je zagłuszają. Jaki to ma sens, kiedy po jednej stronie błyszczy grupka niezłomnych, podczas gdy po drugiej stronie całe społeczeństwo idzie w rozsypkę. Przeżyjemy dzięki temu, co zostanie w świadomości i morale całego społeczeństwa, a nie dzięki temu, co zostanie w literaturze. Ile ludzi ma tyle sił, żeby pozwolić się wlec głową po schodach? Niedostępnym wzorom pogłębiają depresję reszty. Milionom ludzi powinien ktoś udzielić rozgrzeszenia: za to, że nie spalili się jak Palach, potem że nie strajkowali, że poszli na wybory, że nie podpisali Karty 77, i że chyba nie wytrzymałoby różnych gwałtów. Trzeba im jednak powiedzieć, że na nich spoczywają wszystkie pozostałe obowiązki.

Świadomie zrobiłem krok wstecz, ku tym, których zostawiliśmy w aktach męstwa („męstwa”?) za sobą. Na ten ton, mówiąc o bohaterach, pozwoliłem sobie dlatego, że mnie do nich zaliczają, a ja tego nie chcę. Więc bicząc także własne ciało. Swym ciałem płacimy tak samo, ale komu - esbekom! Wypracowaliśmy z latami sposoby, jak się zachować na przesłuchaniu, jak się przemykać z papierami i jak przemycać informacje. Mamy opracowany stosunek i taktykę wobec organów bezpieczeństwa, ale czy mamy je także w stosunku do planów wyższego rzędu? Przecież organa bezpieczeństwa są tylko pałką w ręku pana. Kąsamy zawzięcie tę pałkę, my, wolne psy, a pan może nawet nic o nas nie wie. Ja tego już nie chcę i nie będę, ja się od tego odzegnuję!

A poza tym: co będzie, jeśli następnego dnia wyjadą i dalsi pójdą do więzień, ja wśród nich, w co zmieni się działalność pozostałych kartystów, zawężona do samych przejawów istnienia w tajnym kółku? Gdzie podział się pierwotny zamiar? I czy nie powinno się myśleć o stworzeniu drugiej linii, liczniejszej obsadzonej linii obrony?

Myślę, że chyba to powiedziałem Stanzie; niestety, poniosło mnie. Wstydzilem się przy tym, że mówię. I uświadomiłem sobie też stremowanie powodzi słów. Nie mówiłem już kilka lat. Być może chciałem na próbę sformułować to, o czym będę chciał pisać. A może i nie będę.

Szedłem przez plac Wacława, popołudnie sprawiło wrażenie przedwiośnia, z ulic schodził śnieg, zostawała szara powłoka suchej soli, którą będą musiały zmyć wiosenne deszcze. W wydawnictwie Akademii podobno nie mają prądu. Ale byłem w dobrym nastroju. Zapraǳem kupić sobie coś ciekawego. Zwykle poszukuję tego w sklepach papierniczych lub fotograficznych. Tym razem chodziło o krawaty, ale było zamknięte. Kupiłem dwa tomy *Słownika staroczeskiego* Gebauera. Cieszyłem się, że przyjdę do domu, zrobię sobie dobrej herbaty, wyłożę nogi na krzesło i będę dumać. W tramwaju przyszło mi na myśl, że jednak chciałbym mieć kiedyś prawdziwy łuk i strzałę.

Ludvik Vaculik

tłumaczyła  
Danuta Abrahamowicz

# Listy do Olgi

Václav Havel

06.09.81.

## Droga Olgo,

na pewno przypominasz sobie, że w zakończeniu *Krzesel* Ionesco występuje Mówca, który ma przekazać zebranej publiczności arcyważne przesłanie, stanowiące sumę życiowych doświadczeń Starego i Starej\*. Nie potrafią się oni pogodzić z myślą, że mogliby odejść z tego świata, nie zapoznawszy go uprzednio z najważniejszym osiągnięciem życia, które wyraźnie odślania jakieś najistotniejsze tajemnice i tłumaczy „jak to właściwie z tym wszystkim jest”. Nasuwa się przypuszczenie, że Mówca ma poinformować zebranych gości, na czym polega sens życia. Jego długo oczekiwane przemówienie okaże się jednak w ostatecznym rozrachunku niezrozumiałym belkotem.

polega sens życia, to wydaje mi się, że jego wysiłek poszedł na marne między innymi dlatego, iż sens życia nie jest - jak często się przypuszcza - jakąś mało znaną informacją, którą posiadający ją może przekazać komuś, kto jej nie posiada; tak samo jak astronom informuje nas, ile planet ma System Słoneczny, a statystyka - ilu alkoholików jest wśród nas. Tajemnica istnienia i sens życia nie są jakimiś „danymi”, ludzie zaś nie dzielą się na tych, którzy je znają bądź nie. Nikt z nas nie stanie się kimś lepszym od innych tylko dlatego, że dowie się skądś o czymś, o czym pozostali nie wiedzą, ewentualnie posiadzie jakąś życiową „prawdę”, której inni nie poznali, bo mieli pecha. Sufańsk słusznie zwraca uwagę na różnicę pomiędzy prawdą a informacją: podczas kiedy tę drugą można przekazywać rzeczywiście swobodnie, z tą pierwszą jest o wiele

ducha, życia, czasu i istnienia. Wszystkie mądre opinie wyrażone kiedykolwiek na ten temat (włączając w to cały wkład wniesiony przez chrześcijaństwo) wyróżniają się, jak mi się zdaje, właśnie dramatycznym wręcz otwarciem, niedopowiedzeniem - nie jest to stwierdzenie, ale raczej wezwanie czy apel, przede wszystkim jest to coś „dziejącego się”, żywego, co porywa i przemawia do nas, co nas zobowiązuje lub inspiruje, co współbrzmi z naszymi najbardziej intymnymi doznaniem, a może nawet zmienia całe nasze życie od podstaw; co jednak nigdy tak czy inaczej nie usiłuje w sposób jednoznaczny rozwiązać (rozwiązać w sensie „usunąć”, zmieść z porządku dziennego) nierozwiązywalny problem sensu. Jest to raczej tylko propozycja, jak żyć z tym problemem.

Czy to mało? Sądzę, że nie. Umiejętność życia z tym problemem to nic innego, jak tylko ciągłe dawanie „odpowiedzi”; a właściwie bycie z tym „sensem” w jakimś żywym „kontakcie”; a właściwie - ciągłe wsłuchiwanie się w nikle echo „sensu”; nie jest to więc zamknięcie problemu, ale wręcz przeciwnie, wciąż bliższe z nim obcowanie. I rzeczywiście: nawet jeśli nie znamy czegoś takiego jak „odpowiedź” (przynajmniej w tradycyjnym tego słowa znaczeniu) i oczywiście znać nie możemy, to jednak, wciąż żyjąc pytaniem o nią, pragnąc jej - pozostajemy de facto w ciągłej z nią konfrontacji. Człowiek podobny jest do ślepego, dotykającego ukochanej kobiety, której nigdy nie widział i nie zobaczy. Sens życia jest więc czymś, czym się na swój sposób rozkoszujemy, czego wciąż szukamy i czego rozpaczliwie nam brak, czego zatem wciąż - chociażby w najbardziej rozpaczliwym poczuciu braku - na swój sposób dotykamy, albo czymś, co - ewentualnie - nas dotyka. Nie jest to kropka nad „i” życia, ale punkt wyjścia inicjujący jego głębsze przeżywanie. Jest to coś na kształt światła, którego źródła nie widzimy i widzieć nie możemy, a mimo to żyjemy w jego blasku - choćby wówczas, gdy cieszy nas jego niezrozumiały nadmiar, albo przeciwnie, gdy martwi nas jego niepojęty brak.

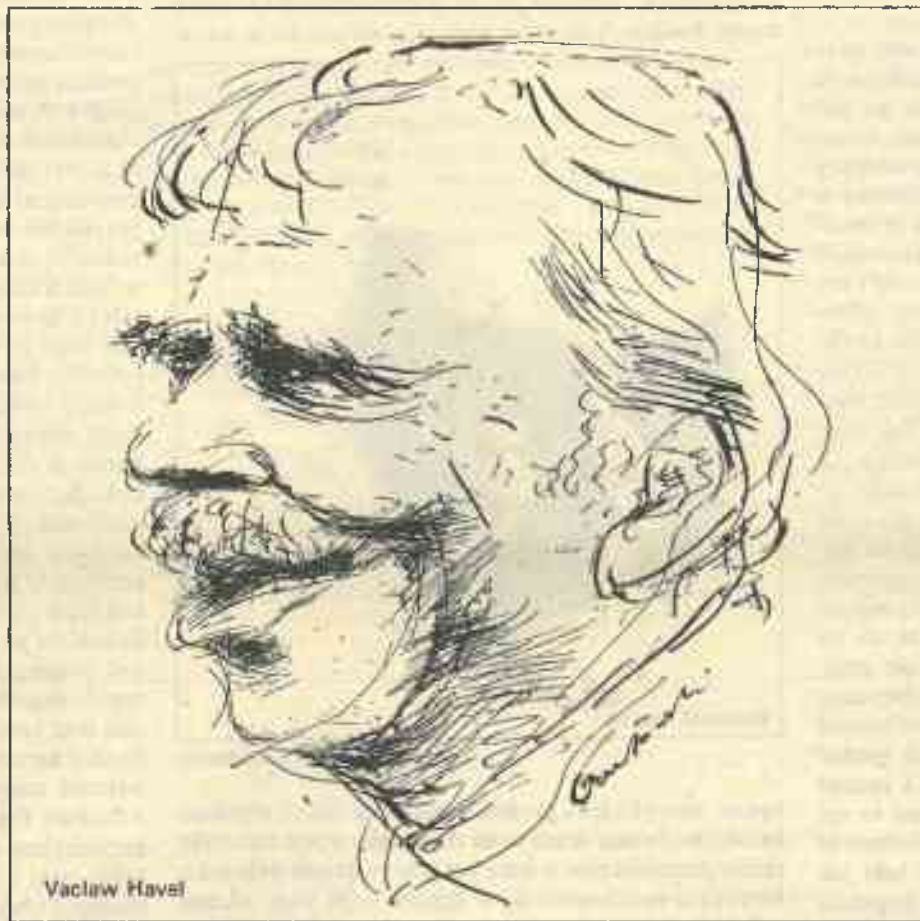
Dopiero ów ciągły kontakt z tą tajemnicą sprawia, że naprawdę stajemy się ludźmi. Nikt oprócz człowieka nie jest bowiem częścią bytu, a więc współnosicielem jego tajemnicy i równocześnie tym, kto pozostając z nią tożsamy, czerpie z niej - jako z tajemnicy - życiową energię; kto zatem nie tylko - jak i wszystko inne - jest „pytaniem”, ale także sam nim będąc - równocześnie zadaje je sobie i musi zadawać. Można by powiedzieć (i zresztą mam wrażenie, że ktoś to już powiedział), że człowiek to „pytający byt”, a ściślej - byt, który pyta sam o siebie, a jeszcze ściślej - jest on tym, którego ustami byt pyta sam o siebie.

Tak więc chwila, w której człowiek po raz pierwszy naprawdę staje twarzą w twarz z pytaniem o sens, nie jest tylko chwilą, w której człowiek po raz pierwszy rzeczywiście sens życia utracił (to znaczy ów „spontaniczny”, nieświadomiany sens), ale też momentem, w którym po raz pierwszy naprawdę świadomie tego sensu dotyka. Chwila, w której się to dzieje, jest także początkiem historii człowieka jako ludzkości, historii kultury, historii „porządku ducha”.

Nie jest to więc historia „dawania odpowiedzi”, ale historia „stawiania pytań”, nie jest to początek życia znajdującego swój sens, ale życia, które zrozumiało, że swojego sensu nie zna i że wciąż musi się godzić z tą surową prawdą.

To „godzenie się” jest najbardziej skomplikowanym, najbardziej tajemniczym i równocześnie najważniejszym doświadczeniem metafizyczno-egzystencjalnym, z którym mamy do czynienia w życiu.

dokończenie na s. 12



JACEK GAWŁOWSKI

Wiele osób interpretowało ten wątek dramatu jako wyraz przekonania autora, że nikomu nie da się niczego przekazać, że człowiek z człowiekiem nigdy się nie porozumie, tym bardziej co do „sensu życia”, ponieważ w rzeczywistości życie nie ma żadnego sensu, jest daremne, człowiek zaś beznadziejnie grzęźnie w totalnym bezsensie wszystkiego - przede wszystkim własnego istnienia. Dlatego Ionesco przez wielu uważany jest za dramaturga reprezentującego skrajny sceptycyzm i nihilizm.

To co Ionesco chciał powiedzieć, jest sprawą Ionesco, a interpretację z tym związane, to sprawa autorów owych interpretacji. Wspominam o tym nie po to, aby przedstawić własny komentarz, ale dlatego, że wątek Mówcy będzie stanowił, jak mi się wydaje, punkt wyjścia dla moich dalszych przemyśleń.

Zauważmy: Stary i Stara - świadomi wagi samej informacji oraz doniosłości przekazania jej światu w sposób zrozumiały - decydują, że nie uczynią tego sami, lecz wynajmą w tym celu fachowca - specjalistę od przekazywania informacji.

Jeżeli Mówca rzeczywiście miał przekazać publiczności informacje, na czym

trudniej. (Zresztą historia dostatecznie jasno dowodzi, że im bardziej ludzie ulegną iluzji jakoby prawda była czymś na kształt przedmiotu, przekazywanego przez kogokolwiek kiedykolwiek i komukolwiek, tym gorsze przynosi to skutki: logicznym bowiem następstwem tej iluzji jest przekonanie, że świat można zmienić na lepsze szerząc po prostu tę prawdę jak najszybciej. A czy jest jakiś skuteczniejszy środek jej rozpowszechniania niż przemoc?)

Dla mnie „sens życia” nie tylko nie ma charakteru informacji czy przedmiotu, który można swobodnie przekazywać, ale nie jest to nawet nic „obiektywnie” poznawalnego i dającego się przedstawić za pomocą pojęć, nie tak czy inaczej skończonego, gotowego, żyjącego własnym życiem. Wszelkie próby ukazania w ten sposób sensu życia wywołują tylko pytanie, jaki sens ma to coś, co proponuje się jako domniemany sens życia. Domniemana odpowiedź staje się bowiem tylko środkiem skuteczniejszego zaciemnienia pytania, wskutek czego zaczyna wyraźnie przypominać przemówienie Mówcy z *Krzesel*.

Wizja jakiegos absolutnego i ostatecznego poznania, które wyjaśniałoby wszystko i nie wywoływało już żadnych nowych pytań, łączy się dla mnie w sposób jednoznaczny z wizją końca - końca

\* Fragmenty opublikowanych w Toronto w 1985 roku *Listów do Olgi* (Dopisy Olze)

**T**eraz kiedy skończyłem Vita nuova tekst który pisałem w rytmie głębokich wdechów i wydechów uświadomiłem sobie istotę czytania diagonalnego uświadomiłem sobie że do tego by sondować strony na ukos oczom ani duchowi niepotrzebna jest interpunkcja uświadomiłem sobie że nie tylko ja ale setki tysięcy czytelników gazet i długich powieści że już umiemy prędko odwracać stronę za stroną poprzestając jedynie na przeciągnięciu rzucie oka a czujny duch zatrzymuje się tylko tam gdzie drugi układ sygnałów powie że tu jest coś co zasługuje na uwagę czytelnika że tu przez małą chwilę można czytać poziomo... aby potem znów wrócić do czytania diagonalnego Nie pozwoliłem sobie na ten luksus jak Joyce który napisał bez interpunkcji poranny monolog pani Bloom swoistą Schlummerlied monolog wewnętrzny który jak Ziemia Gea nie zna i znać nie potrzebuje ani interpunkcji ani gramatyki... ja pozwoliłem sobie na ten luksus czytania diagonalnego a priori ponieważ tą samą metodą czytałem we własnej przeszłości wybierając z niej przyprószone obrazy z mego życia które słowem mówionym przekształcałem w jednowymiarowe linijki tekstu myślę że zapuszczając tę skośną sondę w swą podświadomość i przedprogową świadomość postępowałem jak pan Barrande który kiedy budował linię kolejową pod Pragą to w skośnych warstwach struktury skał w warstwach diagonalnych odnajdował zadziwiające trylobity podobnie jak czytelnik diagonalnie czytając odnajdzie odcisk samego siebie...

\*

Ale się wyglupiłam ale się wyglupiłam mój mąż wniwiał we mnie że jest urodzonym rzemieślnikiem że nie stanowi dla niego problemu No więc go poprosiłam żeby mi zrobił półeczkę taką spizarenkę w małym, ale wysokim oknie że to zewnętrzne okno możemy śmiało mieć półotwarte i będę tam na półeczkach trzymać zawinięty w ściereczkę chleb i garnek ze smalcem i masło i konserwy Tak więc mój mąż sprowadził sobie pomocnika Ślązaka niejakiego Pepiczka no i ten Pepiczek zrobił rysunek tej półeczki tej przyszłej spizarenki mój mąż rozciął torbę po macę i na podłodze kreślił z Pepiczkiem plany i przechwalał się że ukończył szkołę średnią gimnazjum realne dobrze że profesorowie nauczyli go geometrii wykresnej i matematyki Tak więc z Pepiczkiem rysowali i pili do tego piwo z dzbana a jak narysowali nośne beleczki i poprzeczne deseczki to gratulowali sobie i opijali ten szkic stockiem. A ja z kolei musiałam krawieckim centymetrem wymierzyć im odległość między ścianami tego okna i musiałam wszystko pomierzyć bo jak patrzyłam na to co ci dwaj rysują na podłodze to już gołym okiem widziałam że to co narysowali to jest bzdura I kilka razy omal nie przewróciłam się na Pepiczku który miał osobliwe zwyczaje Przede wszystkim ilekroć się zamyślił to zawsze musiał przysiąść w kukci siedział tak dziwnie jak jakie wielkie ptaszysko Ten Pepiczek był okropnie malutki a jeszcze kiedy przysiadł na piętach jak siadają Buszmeni to nie był większy od krzesła od taboretu i nigdy nie zdejmował kapelusza Ten jego kapelusz był pilśniowy i taki jak z minionych wieków i Pepiczek nosił ten kapelusz nasunięty na oczy a przy tym uśmiechał się nieustannie i palił a golił się chyba raz na tydzień toteż był zarosnięty i tylko jego oczy uśmiechały się nieustannie był to raczej taki uśmiech kogoś kto coś przeskrobał... Tak więc zaczęło się dla mnie piekło bo ci dwaj stale mieli dość czasu na tę swoją stolarzkę nieustannie chodzili przycinać deszczułki gdzieś do stolarni i wracali bez deszczulek ale uśmiechnięci i zalatywało od nich piwem i stockami I kiedy mój mąż był jeszcze w pracy Pepiczek już siedział na piętach przed progiem naszego mieszkania i palił łokcie opierał o kolana i palił a ten jego kapelusz gdy tak siedział na moim progu był tak wielki że gdyby padało to ten kapelusz zmieniałby się dla Pepiczka w otwarty parasol Pan Vaniszta restaurator spotkawszy mnie raz pytał poważnie co to za przeróbki stolarskie robimy w tym naszym mieszkaniu czy nie stawiamy w tym jednym pokoiczku przepierzenia albo czy nie urządzamy sobie kąta kuchennego a gdy wystraszyłam się i spytałam dlaczego to mi pan Vaniszta powiedział że Pepiczek Sviatek od lat już chodzi do niego na obiady i kolacje i jest jego sztamgastem ale w ostatnich czasach jest pełen entuzjazmu pije stocki na rachunek doktora to znaczy mego męża i po cichutku mówi właśnie o tych olbrzymich robotach stolarskich które wykonują z moim mężem w naszym pokoju Ale oto upłynął niemal miesiąc i mój mąż wraz z Pepiczkiem przytaszczył cztery cienkie słupki wysokie jak to nasze okno przyszłej spizarenki i gdy uznali że te trzy listwy przycięli niemal dokładnie tak się tym ucieszyli że rozlewali sobie do kubków małą butelkę stocku i parzyli sobie kawę i Pepiczek wskoczył na krzesło i tak samo jak siadywał na ziemi siedział też na tym krześle na piętach i stale w kapeluszu

Bohumil Hrabal

# VITA NUOVA

i wciąż palił i uśmiechał się a mój mąż gratulował mu że jest takim wspaniałym rzemieślnikiem że zesłały mu go same niebiosy A potem ten mój mąż poszedł pożyczyć młotek i kupił długie gwoździe i trwało wiecznie zanim wrócił i znów zalatywało od niego piwem a tymczasem Pepiczek siedział na krześle jak kormoran jak jakiś sęp łokcie trzymał oparte o kolana i chyba spał tak złożony do środka jak zamknięty parasol a mój mąż nie zaczął przybijając tych listew do futryn przyszłej spizarenki ale jak było w jego stylu wpadł na pomysł że najpierw musi oczyścić zatkane rury od pieca a że piec ma już zły ciąg więc trzeba rury wynieść i wysypać sadze prosto do śmietnika i że dobrze że jest tu jeszcze Pepiczek to zrobią to we dwójkę A ja już z góry wiedziałam że to znów



Bohumil Hrabal

JACEK GAWŁOWSKI

będzie amerykańska groteska ponieważ zanim wyszłam za mąż za ten mój skarb to on chcąc żeby w pokoiku było ciepło przeniósł piec w inny kąt a że to dawne palenisko kowalskie znajdowało się w drugim rogu więc zakupił całe komplety rur i przeciągnął je przez cały pokój i żeby się te rury nie połamały zawiesił je na drucikach przymocowanych do sufitu Ale Pepiczek Sviatek powiedział że nie trzeba wynosić rur na dwór że wystarczy jeśli mój mąż przyniesie drabinę i stojąc na drabinie wpakuje szczotkę kominarską na długiej drucianej rączce i wypchnie tą szczotką sadze do kolanka nad płytą a stamtąd ciąg wyniesie je do komina bo tu w tym domu znajdowała się kuźnia i tutaj było kowalskie palenisko I by dowieść jak to jest z tym ciągiem Pepiczek zeszkoczył z krzesła i tam gdzie jest komin otworzył szyber lecz sam się nie spodziewał tego co nastąpiło bo jak otworzył szyber to sadze wywaliły się do kuchni spiętrzyły się i Pepiczek stał w nich po kolana i uśmiechał się i był zachwycony że właściwie już wszystkie sadze są tutaj w kuchni a więc po co wymiatać? A ja stałam i czerwieniłam się ze wstydu ale mój mąż też się zachwycał i wybiegł na podwórko i przyniósł drabinę wysoką drabinę i ustawił ją pod rurami które teraz wyciągnął z otworu przewodu i te rury zawieszono na dubeltowych drutach przechyliły się a mój mąż zszedł i wziął kawałek gazety i zapalki i naprawdę jak wetknął tę gazetę w czarny okrągły otwór powietrza i zapalił tę gazetę to ciąg był taki silny że komin i jego przewiew wessał z hukiem tę płonąca gazetę a Pepiczek Sviatek i mój mąż wsłuchiwali się w to huczenie i zachwycaли się jaki ten nasz komin ma piękny ciąg A ja dla wszelkiej pewności wyszłam na dwór i oglądałam to wymiatanie pieca przez okno bo wszystko co dotychczas mój mąż robił zawsze kończyło się źle mniej więcej tak jak gdy przycinał te nogi krzesła i stolika na dachu kiedy zamiast zrównoważyć pochyłość dachu przyciął nogi tak że tę pochyłość zwiększył i musiał

jeszcze raz mierzyć i kupić na ulicy Novaków nowe krzesła i stoliczki Gdy mój mąż przeciął mi deszczułkę do szafy na obuwie to znów chodził i rysował i mierzył i chwalił się że uczęszczał do gimnazjum realnego i dobrze że uczył się tam matematyki i geometrii wykresnej no i jak wysuszył dzbany piwa i następnie uciął deszczułkę to nie nadawała się do niczego bo ta deszczka była o wiele krótsza niż rozpiętość naszej szafy Tak więc stało się że mój mąż i Pepiczek Sviatek wpadli na pomysł że po co wyciągać te dymne rury i zdejmować je z drutów kiedy najlepiej będzie wetknąć te długie rury z powrotem w kanał komina i następnie wsadzić w nie szmatę umoczoną w nafcie i zapalić i ten przewiew i ciąg w przewodzie wyciągnie wszystkie sadze i wyniesie je kominem nad dach do samiuśkiego nieba No więc Pepiczek Sviatek zmiął gazetę a mój mąż z olbrzymim entuzjazmem dla tego pięknego pomysłu jak w gorące znów wsunął rury w przewód i przyniósł drabinę i wyciągnął rury z kolanka nad piecem a Pepiczek wyszedł na dwór i w wygodce jak mój mąż mu polecił wziął butelkę ze spirytusem i połał tę zmiętą gazetę spirytusem i znów przydreptał do naszego mieszkania i stał na palcach i wyciągał się jak struna ale sięgnąć do miejsca gdzie nachylał się mój mąż nie mógł... Pepiczek nie sięgał jego ręki nawet gdy stał na czubkach palców i mój mąż zleciał na łeb i przewrócił Pepiczka i przez chwilę leżeli obaj tak splątani na ziemi lecz mój mąż zaraz wstał i już trzymał tę nasączoną spirytusem gazetę i wchodził na drabinę i stanął na niej okraciem a następnie wsunął ten skropiony spirytusem papier w rurę i podpalił skrawek i drucianym trzonkiem kominarskiej szczotki wepchnął płonąca gazetę w te cztery połączone rury najgłębiej jak mógł I Pepiczek Sviatek wsłuchiwał się i mój mąż się wsłuchiwał a ja patrzyłam z chodniczka pod naszymi oknami i też się wsłuchiwałam a mój mąż teraz znowu przyciągnął te rury wiszące i zawieszono na drucikach przybitych do sufitu przyciągnął te rury do siebie żeby zobaczyć co też tam w tych rurach się dzieje i w tej chwili w rurach nastąpił taki wybuch że aż rury odskoczyły na tyle na ile pozwalały im te druciki a z wylotu rury którą mój mąż trzymał przy swojej twarzy sadze buchnęły i strzeliły memu mężowi prosto w twarz i obsypały białą koszulę mojego męża To zresztą cechowało mojego męża zawsze również kiedy przyjeżdżaliśmy do Nymburka to chociaż był ubrany w czyste spodnie i czystą koszulkę i w nowe półbuty to tak jak stał zaraz zaczynał pracować w ogrodzie albo brał czerpak i podlewał warzywa gnojówką i dopiero gdy się uświłił szedł się przebrać w robocze ubranie dziś tak samo włożył czystą koszulkę i szare spodnie bo jak chodzili z Pepiczkiem Sviatkiem po te deseczki na naszą spizarenkę to musiał być elegancki bo zawsze wstępował z Pepiczkiem do tego małego bufeciku w La Palomie na kieliszeczek więc mój mąż teraz był obsypany sadzami i to by jeszcze tak bardzo nie szkodziło ale sadze powbiły mu się w twarz wskutek czego niemal wcale nie widział i jak schodził z drabiny Pepiczek Sviatek musiał podać mu rękę a ja przybiegłam i przyniosłam wodę i mój mąż przemywał sobie oczy ale ledwie trochę pomrukał już zaraz cały czarny i obsypany wbiegł na drabinę i wsłuchiwał się i naprawdę sadzy w rurach nie było zbiegł na dół wziął zapalki i oderwał kawałek gazety i gdy zapalił kawałek Rudeho Práva u wylotu przewodów dymowych to komin miał taki cug że z apetytem i radością wessał tę płonąca gazetę a mój mąż stał tak na drabinie i teatralnym gestem domagał się owacji i zbiegł z drabiny i gratulowali sobie z Pepiczkiem Sviatkiem I mój mąż znowu wbiegł na drabinę i wsunął ten swój zestaw patentowanych metalowych rur dymowych w kolanko a Pepiczek Sviatek wziął szufelkę spod pieca i tam gdzie u podnóża komina i w pokoju zebrano się spiętrzyło się chyba z cztery kubelki sadzy Pepiczek Sviatek zgarnął jeszcze szufelką wszystko co tam było w kominie lecz i tego było mu mało ukląkł i trzymając w palcach szufelkę wsunął rękę w komin i gmerał tam po czym wyciągnął tę swoją czarną rękę i okręcał z niedowierzaniem kapelusz i wziął kominarską szczotkę i wsunął ją niemal całą w ten przewód i oto rozległ się huk i z tego szerokiego kowalskiego komina z którego w taki sposób nie wymiatano sadzy chyba od czasu gdy ta kuźnia zakończyła swoją działalność więc nagromadzone od tego czasu sadze spadły aż z wylotu komina przewodem na dół i zasypały Pepiczka Sviatka wraz z kapeluszem tak że nawet mój mąż zląkł się i ostrożnie zbliżył się do tej sterty sadzy i gdy Pepiczek Sviatek w tej kupie sadzy wstał to najpierw ukazał się ten jego kapelusz a potem ręka i mój mąż podał Pepiczkowi swą rękę i wyciągnął go z powodzi tych sadzy a potem obaj przytupywali i chodzili dokoła stołu i wytupywali i roznosili mi po mieszkaniu sadze które wirowały pod żarówką jak gdyby się ściemniło jakbym patrzyła na moje mieszkanie przez czarną organdyne przez wdowi welon...

\*

Jeden tydzień spędziłam z moim mężem w Karkonoszach. Mieszkaliśmy na Górnych Mieczech w schronisku Jilemnicka Buda ponieważ kiedy mój mąż był studentem to zatrzymywał się na Dolnych Mieczech i jak mi pokazał mieszkał na Trzydomiu u pana Scharfa a poniżej chałupy pana Scharfa mieszkał Donth a jeszcze niżej pan Benauer wszyscy pracowali w lesie i mieli kupę dzieci mój mąż mówił że co roku gdy tu przyjeżdżał na przerwę semestralną to w tym budynku u Scharfów było o jedno dziecko więcej a działo się tak również dlatego że jak pan Scharf był w lesie to pan Donth przychodził do niego po siekiere albo po piłę a że był rudy to co drugie dziecko pana Scharfa też było rude. A potem mój mąż pokazał mi Waldheim gospodę z zielonymi tramami gdzie zawsze jadał kolację wracając z tych swoich wycieczek narciarskich i zawsze był tam tylko jeden czasem dwaj goście i wszyscy pili butelkowe piwo a mój mąż oprócz piwa jadł tu na kolację chleb z masłem i kiełbasą i zawsze było tu gorąco palono w ogromnym kaflowym piecu... Ale wszystko to było kiedyś. Po roku czterdziestym piątym tu w Karkonoszach nie było już ani jednego Niemca niektórzy padli na wojnie inni byli zabici motykami reszta została wysiedlona a oprócz wysiedlonych i poległych Niemców powoli wybite zostały również krowy mój mąż mówił mi że kiedyś było tutaj w tych górach sześćset krow a teraz zostały jedynie cztery na Severce nad Pecem tam gdzie gospodarzyła Niemka i wieczorem gdy podoiła tam w tej swojej gospodzie podawała jeszcze ciepłe mleko z rumem a niemal wszystkie schroniska były teraz pozajmowane przez przedsiębiorstwa państwowe które miały tu wczas dla swoich pracowników. Ale mój mąż myślał wciąż był w tych czasach kiedy jeszcze byli tu Niemcy którzy w niemal każdym schronisku podawali chleb z masłem i bauernschmaus czyli takie drewniane a na nim kawałek słoninki i kawałek kiełbasy i kawałek wątróbki i kawałek wędzonki i do tego było zawsze dobre butelkowe piwo a przede wszystkim we wszystkich tych chałupach zimą było bardzo gorąco ponieważ palono drzewem. Najbardziej jednak mój mąż żałował że odeszło tych sześćset krow że odeszły te zniszczone prace Madonny z dużymi wolami te wychudłe kobiety a wraz z nimi odeszło również to piękne narzecze. Oczywiście mój mąż dodawał że niemal wszyscy ci Niemcy byli nazistami i wszyscy radowali się z tego że to Czesi przegrali więc nikogo na świecie nie mogło dziwić że gdy przegrali wojnę to za jedno oko musieli zapłacić obu oczami a za jeden ząb całą szczęką bowiem Kto sieje wiatr ten zbiera burzę i Zwycięzców się nie sędzi i Biada zwyciężonym. Tak oto mój mąż na tych przechadzkach zaśniewanymi oznakowanymi szlakami gdy zostawiwszy narty wyruszyliśmy w narciarskich strojach i z plecakiem na grzbiecie i podpieraliśmy się kijami od nart mój mąż więc kiedy mówił kiedy wygłaszał te monologi to złościł się na wszystkich Niemców w Czechach i na Morawach że właściwie od problemu sudeckiego rozpoczęła się ta druga wojna światowa i że Niemcy zdradzając nasze państwo i wysuwając hasło Heim ins Reich właściwie sami z góry przesadzili o swoim losie i o swym wysiedleniu a tym samym także o losie Czechów bo przegrywając wojnę zaprosili do Europy Środkowej zwycięzców a tym samym również nową epokę w której wszystko jest inne niż było. Tak więc chodziliśmy po znakowanych szlakach najbardziej lubiliśmy schodzić w dół do Szpindlerowego Młyna i mój mąż rozglądał się tu jak w śnie bo wszystkie nazwy hoteli i schronisk turystycznych były teraz inne niż kiedyś i mój mąż gdy to widział i gdy widział jak za hotelami i schroniskami piętrzą się hałdy śmieci i żużla z centralnego ogrzewania a przede wszystkim gdy weszliśmy do dawnego hotelu ale nie dostaliśmy w nim nic do jedzenia ponieważ był to ośrodek czasowy przedsiębiorstwa państwowego i gotowano w nim tylko dla własnych pracowników to mój mąż znów głośno ciągnął ten swój wewnętrzny monolog i znów wymyślał Niemcom którzy mogliby być tu nadal i mój mąż nadal rozmawiałby z nimi i nadal chodziłby do przegrzanych chałup i pił to swoje piwo ale tak to Niemcy w Karkonoszach i w ogóle wskutek tego że chcieli Heim ins Reich obrzydzili memu mężowi te góry i dobrze im tak i dobrze się stało że spotkał ich taki straszliwy koniec bo oni pierwsi w tej Pierwszej Republice naru-

zyli zasady dobrego zachowania i właściwie to co ich spotkało to właściwie było za mało za tę największą ich zbrodnię że z tymi Sudetczykami odeszło nie tylko sześćset krow ale również cały urok narzecza w tych górach i w ogóle Przecież wskutek tej zdrady odeszła również ta piękna niemczyzna z Pragi oraz ta piękna niemczyzna ten hantec z Brna i Opawy i Iglawy odeszło to piękne narzecze z Kotliny Spiskiej cipldautsch spiskich Niemców i egerlander z Chebu i mój mąż oplakiwał tę podwójną świadomość językową która odeszła wraz z sześciuset karkonoskimi krowami i opalanymi drewnem chałupami i gospodami. Ale cóż? Nie umieli się należycie zachować no i dokądkolwiek przyszli z tymi swoimi sztandarami i kacetami i z tą swą czystą rasą wszędzie nieśli zagładę i śmierć i nieszczęście. No to dobrze im tak dobrze im się stało właściwie dostali jeszcze za mało za to co Europie przynieśli ale przede wszystkim dostali w skórę ponieważ mój mąż lubił ich gdy jako student jeździł na Mieczech na przerwę semestralną na tydzień mu starczało czterdzieści koron i mieszkał za pięć koron u pana Scharfa na Trzydomiu Dreihauser i wtedy nawet we śnie nie przyszło mu do głowy i nawet przyjść nie mogło to co się stało kiedy przyjechał do tych Niemców w roku trzydziestym siódmym bo wtenczas byli to już zupełnie inni Niemcy już okna na stryszku szklili tak żeby z szybek wyszedł hakenkreuz i już byli względem mojego męża chłodni i niektórzy już z nim nawet nie rozmawiali i nagle ci robotnicy leśni byli hardzi i podnosili głos i ich oczy miały błyskawice w stronę Pragi i wszyscy zaczęli nosić białe pończochy i te wolowate Madonny nosiły stroje ludowe i w gospodach śpiewano bojowe niemieckie pieśni a głównie Wacht am Rhein. A ja słuchając tego byłam speszona i wstydziłam się za tych Niemców głównie z tego powodu że byli przekonani iż wszystkie te ich problemy socjalne iż wszystko co było pośród nich złego to wina Czechów to wina Pragi i że wszystko się zmieni gdy będą mogli urzeczywistnić swój wielki sen Heim ins Reich...

\*

Z panem Hańtą była co prawda kupa śmiechu ale ja już tych dowcipasów znieść nie mogłam... Przed południem skoczyłam raz po piwo dla mego męża a u Husenskich siedział pan Hańtia na krześle jak u fryzjera a ja bałam się patrzeć jak cały ten bufet robił sobie z niego zabawę... Jeden z gości przystawił mu do łysiny odwróconą szklaneczkę z kremką musztardą Hańtia miał taką samą łysą pałę jak mój mąż i goście którzy zamówili parówki na gorąco maczali te parówki w musztardzie spływającej panu Hańtii koło uszu i maczali tak te parówki jeden za drugim jak gdyby w głowie Hańtii a on

trzymał zaciśnięte pięści na kolanach i uśmiechał się a bufet ryczał ze śmiechu i kelnerki kwiczały i płakały... Hańtia w ogóle przyciągał ludzi którzy lubili figle... Mój mąż mówił mi że raz Hańtia nie przyszedł do roboty bo policja zawiozła go do Świętego Apolinarego ponieważ Hańtia także wyprawiał jakieś wesele w domu i o północy kiedy wyskoczył z domu tylko na chwilę by odprowadzić do tramwaju dwie robotnice i miał przed sobą tylko ściereczkę to od kapitanatu powiał wiatr i ściereczkę mu diabli wzięli a Hańtia miał mały kawałek do wysepki tramwajowej więc szedł nagi i zasłaniał sobie siusiaka jedynie pękiem kluczy... i jechał patrol gliniarzy co zbierali do zakratowanej budy ochlapusów i Cyganów i cinkciarzy no to dorzucili do nich Hańtę z kluczami i jeszcze zajechali na Żiżków po następnych morderców tak więc Hańtia przyszedł do pracy dopiero po południu ośniony zadziwiony jaka piękna przygoda mu się zdarzyła... I ten Hańtia z którego wszyscy stroili sobie żarty za każdym razem kiedy wpadłam do mego męża zawsze opowiadał mi coś o czym musiał nieustannie myśleć... Ostatnim razem ni z tego ni z owego opowiadał mi i miał okropną czkawkę i opierał się dłonią o ścianę by nie upaść... Łaskawa pani jest pani damą wykształconą z pewnością czytała pani norymberskie ustawy rasowe o czystości rasy germańskiej... Wie pani o czym teraz myślę gdy tak na panią patrzę... O Norymberdze! Myślę o tym skurczybyku o cesarzu i królu Wacławie IV... Tak łaskawa pani to dopiero był galant! W kraju przechlał kilka lennych majątków w Chebskim oraz w Lokeckim... i to z kim... z łąbiezną Zuzanną! Ale tego było mu mało... więc w drodze do Francji zatrudnił się ze swą drużyną w Norymberdze i tam zrobili sobie maleńkie drugie śniadanko... no i chlali tak na tym maleńkim drugim śniadanku kilka dni to dopiero była parada! Król czeski i cesarz rzymski przechlał tam w Norymberdze oprócz forsę również tę cesarską koronę... musiał oddać ją w zastaw... I kto pożyczycił mu forsę żeby mógł z tą koroną wyjechać do Francji? Bankierzy von Nassau... ci to mieli forsę! I filię w Norymberdze... A ja dzisiaj w hołdzie dla niego przepijam zaliczkę no bo łaskawa pani... Wacław IV to był król królów to numer jeden w skali światowej to drogowskaz to szampion krytych kortów i mistrz świata i wspaniały zapaśnik... jak szanowny małżonek łaskawej pani i ja... Z niego powinien świat brać przykład wszyscy prezydenci i królowie i szejkowie całego świata... bo jak byście wszystko przechlałi to kogo stać by wtedy było na wojny... mielibyśmy tylko i wyłącznie nienaruszalny pokój... bo wszystkie kasy państwowe i skarby państw i wszystkie ordery i odznaczenia i wszystkie korony wszystko byłoby przechlane lub zastawione. A kto wam dziś pożyczyci? Nie ma już ani von Nassau z Norymbergi ani

Fuggerów z Augsburga... ani Rotschildów z Wiednia i Berlina. Łaskawa pani na cześć tego skurczybyka Wacława IV idę do końca przechlać pani wybaczy przepiętą mą zaliczkę... z kelnerką Zuzanną... A ja stałam i odwracałam głowę bo oddech pana Hańtii śmierdział ale to jak okropnie gorzałą oraz piwem ale stałam jak skamieniała bo to co pan Hańtia mówił nawet jeśli po pijanemu było kiedyś i teraz tak przeraźliwie piękne że z wrażenia byłam skamieniała i słyszałam tylko jak idąc przytrzymywał się ściany i gdy wychodził z bramy jego sylwetka ciemniała na tle opromienionej słońcem ulicy Spalonej a potem prześlizgnęła się raptownie w lewo pod świętego Tadeusza i następnie sunęła przez jezdnię do Husenskich... A ja stałam w tej zimnej bramie i dzierżyłam w rękę stągiew piłnieńskiego piwa i ni stąd ni zowąd przez tego pana Hańtę zachciało mi się pić i pociągnęłam sobie a potem jeszcze i znowu... to piwo było przyjemnie schłodzone i oto nie pozostało mi nic innego jak tylko znów wyjść na ulicę Spaloną i iść po następne... bo ten król czeski i cesarz rzymski Wacław IV miał rację...

przełożył Piotr Godlewski  
(Paweł Heartman)



FRANCISZEK MAŚLUSZCZAK

*Vita nuova* Bohumila Hrabala, chociaż jest drugim tomem wydanej przez Sixty-Eight Publishers w Toronto trzypiętomowej powieści autobiograficznej, ukazała się drukiem dopiero po tomie trzecim i pierwszym, jesienią 1987 roku. Stąd też i w przekładzie polskim nie zdążyła wyjść w złotych czasach drugiego obiegu i obecnie czeka swej kolejności, by wraz ze wznowieniami pozostałych tomów pojawić się na rynku księgarskim już jako wydanie oficjalne.

# Listy do Olgi

Václav Havel

dokończenie ze s. 9

Nie wiem, czy mogę zajmować się problemem „sensu życia” inaczej, niż samemu podejmując to doświadczenie i samemu próbując je opisać. I to w sposób o jaki od początku staram się w swoich listach – i zamierzam starać się nadal – w nadziei, że nic z tego, co z siebie wyduszę w tych niesprzyjających warunkach, nie będzie brane zbyt dosłownie ani zobowiązująco, ale że będzie traktowane jedynie jako luźny ciąg zaimprovizowanych prób, które podejmuję w celu wypowiedzenia swojego niewypowiedzianego „wewnętrzznego dziania się”. Nie chciałbym być przecież podobny do Mówcy Ionesco. (...)

Całuję Cię Vašek

03.10.81

## Droga Olgo,

w ciągu ostatnich lat poznałem paru inteligentnych i porządných ludzi, na których życie wycisnęło bardzo wyraźne i, wydaje mi się, bardzo tragiczne piętno: zgorzkniali, zniechęceni, stracili wiarę we wszystko. Każdy z nich z osobna doszedł do przekonania, że ludzie są podli, egoistyczni, źli, że nikomu nie można wierzyć i nie ma sensu komukolwiek pomagać, że nie warto o nic się starać i czegokolwiek naprawiać, że wszystkie zasady moralne, wzniosłe cele i ideały są tylko naiwną utopią, należy więc pogodzić się z tym, że świat jest „taki, jaki jest”, to znaczy niezmiennie podły, i urządzić się mając to właśnie na względzie. To znaczy

na nikogo i na nic się nie oglądać, troszczyć się tylko o siebie i starać się, o ile to możliwe, spokojnie i niepostrzeżenie przejść przez życie.

Bardzo łatwo jest w pewnych warunkach poddać się takiej filozofii życiowej. Jednak życiową rezygnację, której przejawem jest owa filozofia, uważam za najbardziej żalony rodzaj upadku człowieka. Ponieważ prowadzi on tam, gdzie życie naprawdę traci sens.

I rzeczywiście: ci, dla których życie straciło sens w najbardziej podstawowym tego słowa znaczeniu i którzy stali się „niewierzącymi”, nie są autorami dramatów absurdu czy poezji dekadentckiej, ani samobójcami, ani ludźmi wiecznie

nękanymi chandrą, nudą, lękiem i beznadzieją, ani alkoholikami czy narkomanami – są kimś innym: są ludźmi obojętnymi. (A na marginesie: spotkałem ostatnio wielu dziwaków, biedaków, desperatów, awanturników, zwyrodniałców, naiwniaczków i najróżniejszych autoramentu lajdaków i lajdaczek, ale ludzi obojętnych w takim znaczeniu, o jakim mowa – niewiele. Tacy w tym miejscu długo nie zabawią. Ale inni zmiernają ku ich szeregom – przede wszystkim ci inteligentniejsi oraz niektórzy z „porządných, którzy się stoczyli”.)

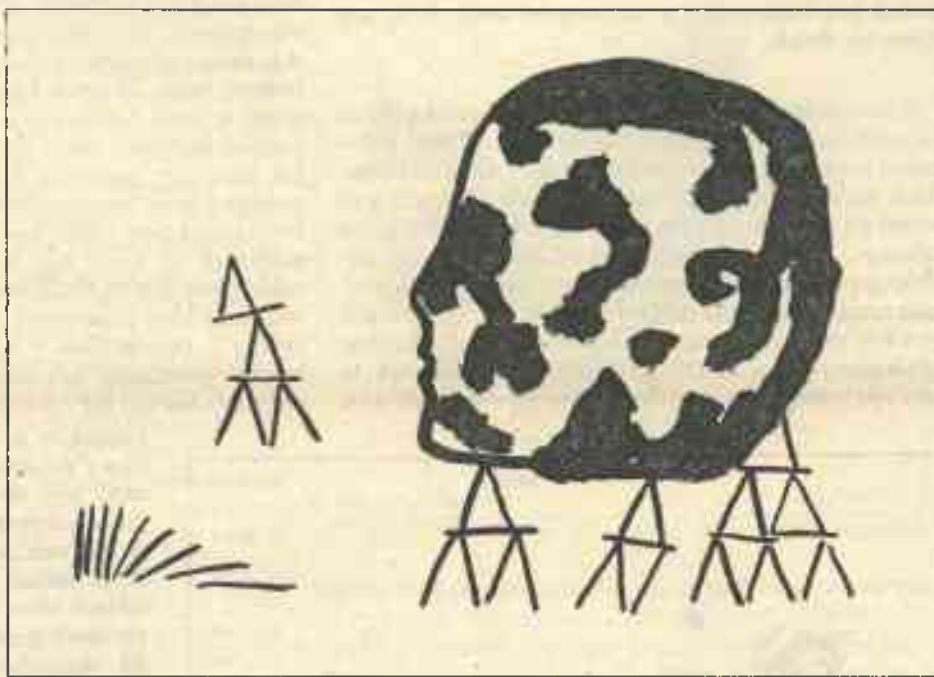
Rezygnację – podobnie jak wiarę – można sobie uświadczać lub nie. Ale gdy jest ona świadoma siebie, to zazwyczaj pierwsze towarzyszące jej oznaki wyrzutów sumienia powodują, że próbuje ona siebie uzasadnić i obronić (przed kim? dlaczego?), wskazując na podłość świata i niezmienną podłość. Ważne jest jednak, że w ostatecznym rozrachunku to nie podłość świata doprowadza człowieka do rezygnacji, lecz na odwrót – to jego rezygnacja doprowadza go do teorii o podłości świata. I chociaż „niewierzący” temu zaprzecza, zawsze najpierw pojawia się ów egzystencjalny wybór, a dopiero potem beznadziejnie pesymistyczny obraz świata, podawany jako jego przyczyna. A im bardziej człowiek zdecydowany jest na to wszystko machnąć ręką, tym mocniej obstaje zwykle przy swoich apokaliptycznych teoriach. Mówiąc dosadnie: „niewierzący” dlatego tak zaciekłe trwają przy tym, że podłość świata nie da się zmienić, aby sami mogli postępować „podle”. (Zwróć uwagę, że zawsze, kiedy ktoś niby mimochodem zbyt często zaczyna podkreślać, że wszystko wokół to świństwo – stanowi to niezawodny sygnał, że sam obmyśla jakieś drobne świństwo.)

W sprzyjających okolicznościach możemy zaobserwować, że proces ten idzie jeszcze dalej: ów „podły

świat” przedstawiany jest najpierw jako określona smutna rzeczywistość, jako ubolewania godne status quo, jako „fakty”, z którymi musimy się pogodzić, lecz stopniowo – w miarę postępującej adaptacji „niewierzącego” do „podłego” świata, przyzwyczajania się do niego i wrastania weni – ta początkowo ubolewania godna rzeczywistość zaczyna się w jego oczach niepostrzeżenie zmieniać w rzeczywistość relatywnie „wcale nie najgorszą”, a na pewno lepszą niż ewentualny stan niepewności, wywołany próbami „utopistów” pragnących ją zmienić, aż wreszcie owo potępiane status quo staje się dlań właściwie ideałem. I w ten oto sposób następuje smutny koniec; chwila, w której bezlitosny krytyk świata niepostrzeżenie zmienia się w jego obrońcę, „niezaangażowany” teoretyk jego niezmienności – w aktywnego bojownika przeciwnego wszelkim zmianom, oryginalny sceptyk – w zwyczajnego reakcjonistę.

Dziś chyba lepiej niż kiedykolwiek rozumiem, że człowiek może łatwo zgorzknieć. Pokusa Nicości jest olbrzymia, wszechobecna i ma coraz więcej argumentów, na które może się powołać lub na nich oprzeć; człowiek staje z nią oko w oko, samotny, słaby i bezbronny bardziej niż kiedykolwiek na przestrzeni dziejów. A jednak jestem przekonany, że na tym łez padole nie istnieje nic, co samo przez się byłoby w stanie odebrać człowiekowi nadzieję, wiarę, sens życia. Tracimy je wyłącznie wtedy, kiedy zawadzimy my sami, kiedy ulegamy pokusie Nicości.

Spróbuję to podsumować: myślę, że to rezygnacja, obojętność, zatwardziałość serca i gnuśność ducha ce-



TOMASZ SIKORSKI

chują stan rzeczywistej „niewiary” i rzeczywistej „utruty sensu”. Człowiek, który popadł w ten stan, nie tylko nie zadaje sobie pytań o sens, ale nawet nie odpowiada na nie w sposób spontaniczny własnym życiem, a więc tym że żyje w jakimś celu – po prostu dlatego, że musi, że nie może inaczej, że już taki jest. Ktoś, dla kogo życie naprawdę straciło sens, wegetuje i nie przeszkadza mu, że wegetuje, że jest pasożytem, całkowicie pochłania go problem własnej przemiany materii i nie poza tym właściwie go nie obchodzi: inni ludzie, społeczeństwo, świat; byt – wszystko to są dla niego przedmioty, które można zjeść, ominąć, bądź uślać na nich posłanie.

Życie pełne sensu, chociażby zawierało się w najbardziej nawet dramatycznych pytaniach i wątpliwościach, zawsze wyróżnia się tym, że egzystencja człowieka wykracza w jakimś stopniu poza zwykłą autopielęgnację – zwracając się ku innym ludziom, ku społeczeństwu, ku światu. Dzięki temu, że wychodzi „poza siebie” ku innym, że troszczy się o sprawy, o które z punktu widzenia samego tylko przetrwania wcale się troszczyć nie musi, że wciąż od nowa stawia sobie najróżniejsze pytania i wciąż od nowa rzuca się w wir zdarzeń, aby potwierdzić swoje istnienie w świecie – dopiero dzięki temu człowiek staje się naprawdę człowiekiem, twórcą „porządku ducha”, istotą, która potrafi dokonać cudu nowego stworzenia świata. Rezygnacja z jakiegokolwiek własnego wkładu oznacza de facto rezygnację z własnej ludzkiej egzystencji i poprzestaniu na przynależności do świata zwierząt.

Tragedia nowoczesnego człowieka nie polega na tym, że wie on właściwie coraz mniej na temat sensu własnego życia, ale na tym, że coraz mniej mu to przeszkadza.

(...)

przełożyła Elżbieta Szczepańska

Cóś mi to nie idzie, korektę robiłem ostatni raz w 1968”, uskarża się nad stołem papierów prozaik. Przed chwilą spotkałem się ze znanym krytykiem. Siedzieliśmy w Klubie Pisarzy, on mieszał kawę łyżeczką. „Na tym miejscu siedziałem dwadzieścia lat temu, kiedy mnie wyrzucali. Teraz zajmuję ten sam gabinet, tylko grafomanów jest więcej”, śmieje się. Telefonuję do leciwego poety, był dla mnie jakby nauczycielem. „Nie ma go w domu. Co, nie wie pan, że wyklada na Harvardzie? Już tam poleciał.” Znam dobrze jego wykłady, przesiadywało nas tam 10-15 stłoczonych w małym mieszkaniu, w kłębach dymu, długowłosych, nieokrzesanych, w postrzępionych ubraniach, młodych poetów. Teraz ten człowiek gdzie indziej mówić będzie o zakazanych autorach. Wrócił na swoje miejsce: do czytelników, na uniwersytet, do redakcji. Zresztą tak jak i pozostali jego koledzy pisarze, krytycy, literaci, laureaci. Mężczyźni i kobiety, książki których znał naród, a przynajmniej czytająca jego część, z lat sześćdziesiątych, kiedy były wydawane. Później jednak bardzo szybko ulotniły się z publicznych bibliotek i księgarskich półek, zamknięte pod klucz albo skierowane na przemiał. Zaś jeszcze wcześniej z publicznej sceny zaczęły znikać ich woczyści. W kraju przepadali w kotłowniach czy magazynach, zostawali przedwczesnymi emerytami. Odnajdywanie ich było wielką przygodą. Niektórzy zmarli, wielu emigrowało, inni przestali pisać. Ci, którzy pisali mimo rzuconej na nich klątwy, często niezwykle sympatycznie odnosili się do swych młodszych kolegów po piórze, do poetyckiego narybku, który jeszcze nie zdążył zostać objęty zakazem publikacji, ponieważ sowiecka inwazja zastała ich w krótkich majteczkach.

Owo wyszukiwanie zakazanych autorów, na które zdecydowałem się w okresie dojrzenia, było przygodą porównywalną z barwnymi perypetiami bohaterów popularnych wagonowych powieści, pochłanianych przeze mnie mniej więcej w tym samym czasie. Ten nostalgiczny, siedzący w kawiarni facet jest światowej sławy reporterem. Przed inwazją zjeździł cały świat. Walczył w Legii Cudzoziemskiej, ma odznaczenia za uczestnictwo w bitwie o Anglię, w Kambodży cudem uniknął śmierci, w Turcji przeżył trzęsienie ziemi. Dziś pracuje jako robotnik w papierni. Idę z wizytą do prozaika. Jego mieszkanie jest obstawione przez policję, pięć razy muszę okazywać swój dowód osobisty. Ostatecznie nie zostaję zatrzymany, a to tylko dlatego, że wybelkotałem coś o konieczności odrabiania z kolegą zadania z fizyki.

Komuniści zamknęli kraj, nie mogliśmy podróżować, mapa świata była dla nas jedynie obrazem niedostępnych obszarów, lecz dzięki masowemu nadzorowi, cenzurowaniu wszelkich przejawów niezależności, przygodą stawała się nawet jazda windą – mogła bowiem zakończyć się aresztowaniem. Żeby dostać się na wykład z filozofii lub koncert rockowy musieliśmy się posługiwać „cynkami” przekazywanymi przez wtajemniczonych posłańców. Na zebranie, podczas którego miał być sporządzony dokument o gwałceniu praw człowieka, jeden z uczestników przyszedł w wędkarskim ekwipunku, wędki nie wyłączając. I tylko jego jedyne tajemnicy nie poddał kontroli. Dla przeciętnych, słuchających zagranicznych rozgłośni obywateli wiadomości takie kojarzyły się zapewne z niewiarygodnym bohaterstwem lub też ze śmiesznymi, choć niebezpiecznymi „podchodami” grupki intelektualistów. Niemniej masy dość długo zachowywały milczenie.

Z ludźmi, którzy w normalnym kraju byłiby otczeni uczniami i wielbicielami, a ich twarze znane byłyby wyłącznie z prasy i telewizji, można było nawiązać zupełnie naturalny kontakt. Niekiedy zawierającym znajomościom towarzyszyły okoliczności o bardzo niekonwencjonalnym charakterze. Pamiętam, jak siedziałem w kotłowni, popijając piwo z robotnikiem w zaszmelcowanym kombinezonie i chciwie słuchałem jego kompetentnego wykładu o teorii fonemów. Przed chwilą gang wozaków w porozumieniu z kelnerami skradł nam kilka ton węgla. Mój starszy o całe pokolenie kolega, także palacz, usiłował im w tym przeszkodzić i dostał kopniaka w brzuch. Pomogłem mu wstać i otrząpać się z kurzu. Okazało się, że jest uniwersyteckim profesorem.

I tu dochodzimy do sedna sprawy. Moja generacja, czyli generacja najmłodszych autorów piszących dla samizdatu (bodaj już ostatnia), wkraczała do kotłowni wprost ze szkolnej ławy, traktując ten fakt jako coś całkowicie naturalnego. Nie mieliśmy najmniejszych doświadczeń z publikowaniem, z mass media-mi. Wizja własnej książki w księgarskiej witrynie jawiła się jako śmieszna niedorzeczność, co więcej, w ideowym sensie była po prostu niemoralna. W naszej purytańskiej optyce (byle nie mieć nic wspólnego z władzą!) tylko protegowani ubodzy duchem wyda-

# Wiecznie w wehikule czasu

Jáchym Topol

wali bezpieczne wiersze, paradowali w telewizji, w gorszych wypadkach wyżywiali się na partyjnych spędach lub brali bezpośredni udział w działaniach kultury. Kontrkulturowy Jack London żył z paczką swoich kumpi: prześladowała go policja, nie miał stałej pracy, podpisywał antypaństwowe petycje, często zaszywał się na wsi, gdzie popijał piwo i pisał. „Knapja i więzienne kraty, chleb powszedni poety” – tak brzmiało pozdrowienie od narkomana Fandy Pánka dla Ivana Jirousa, teoretyka czeskiej kontrkultury, poety, który w komunistycznych Czechach lat siedemdziesiątych spędził w więzieniu dziewięć lat.

Pomogłem więc wstać dławiającemu się z obrzydzenia nad socjalistycznym bagnem profesorowi, przyglądając się przy tym z ironicznym uśmiechem złodziejom. Dla mnie takie sprawy były czymś zwyczajnym – wszędzie kłamstwo, bajzel, złodziejstwo. Mieszkania z podsłuchem, ponure fabryki, zaplute knajpy, w których czułem się normalnie (nie tylko ja, ale niemal wszyscy moi koledzy). Nie wpełchnęło mnie tam gwałtowne wychylenie wahadełka wehikulu czasu. Nikt mnie nie wyrzucił z redakcyjnej czy też nauczycielskiej posady, z radia lub telewizji. A ponieważ nawet nie znałem innego środowiska, nie odczuwałem mojej sytuacji jako czegoś nienaturalnego, nie była ona dla mnie chwilową omyłką. Biorąc pod uwagę codzienne obcowanie z draństwem i ogólnym bagnem, było to najczystsze życie – ot, rzeczywistość, normalka. Sądzę, że właśnie z tym poczuciem definitywności (przecież nikt z nas nie spodziewał się, że sprawy wezmą tak szybki obrót) związany jest także typ produkcji samizdatowej, który na arenie zakazanej twórczości zaprezentowała generacja urodzona w latach sześćdziesiątych.

Okopywaliśmy się na wieki. Każdy był wprawdzie przekonany, że komunizm kiedyś upadnie, trzeba było jednak uzbroić się w cierpliwość i pracować w obrębie swojego środowiska, skorzystać z wszelkich możliwości, zyskać sojuszników. „Vokno” i „Revolver revue”, dwa główne pisma czeskiej kontrkultury, ukazywały się w wysokich – jak na owe czasy – nakładach. Redakcje dążyły do tego, aby odróżniały się od zwyczajnego samizdatu, czyli od przepisywanych na maszynie (w kilkudziesięciu egzemplarzach) kartek. Kultura niezależna już funkcjonowała, staraliśmy się więc, ażeby wykopane podziemne korytarze i kryjówki były nie tylko funkcjonalne, ale i wygodne. Z czasem zanotowaliśmy olbrzymi sukces – udało się nam wdrzeć do drukarni. Czasopisma i książki, prócz intelektualistów i ich maszynistów, przygotowywali także drukarze, graficy, fotograficy, chemicy. Nierzadko byli to prawdziwi artyści w swoim fachu, którzy nie przeczytawszy choćby linijki, po prostu służyli „sprawie”. Tą sprawą był oczywiście opór wobec komunistów. Wielką rolę odegrał tu wzór polski. Polacy drukowali czasopisma, polityczne broszury oraz literaturę piękną w kilkudziesięciu nakładach w okresie, gdy teksty z czeskich samizdatowych serii „Kłódka” lub „Ekspedycja” krążyły zaledwie w kilkudziesięciu egzemplarzach.

Góry, czesko-polska granica w roku 1989, miejsce nazwane urzędowo Drogą Przyjaźni. Wopiści z automatami. Stoimy za krzakiem i czekamy, aż przejdą. Kilkaset metrów dalej posila się dwójka polskich turystów. Plecak niedbale rzucili w trawę. Gdy przechodzimy obok nich, kolega udaje, że się potknął, a wtedy ja zastaniam widok lornetce, przez którą być może jesteśmy obserwowani. Polacy w kilkumetrowej, bezpiecznej odległości także się ożywili. Prędko zamieniamy się plecakami. Ten, który niosę teraz, jest wprawdzie równie ciężki jak poprzedni, lecz zamiast kilogramów literatury jest w nim powielacz i farba. Nagle wychodzi słońce, widzimy skały, dolinę. Znikamy w lesie. Literatura pod lufami automatów. Ten powielacz jeszcze dziś będzie w piwnicy pluć ulotkami. Znowu się nam udało wspaniała przygoda.

Moim kompanem był wówczas Saša Vondra, aktualnie doradca prezydenta, zaś z polskiej strony poznałem Mirka Jasińskiego, który później został radcą ambasady w Pradze.

Co się zmieniło od tamtych lat, jak dziś wędrujemy w wehikule czasu? Autorzy z kręgu „Revolver revue”,

znajomi z podziemia, z knajp i koncertów. Nie widzimy się już tak często, od czasu do czasu na konferencjach prasowych i w redakcjach. Václav Baumann, który w „RR” opublikował szokującą historię z życia praskich homoseksualistów, jest dziś reporterem wpływowego dziennika. W redakcji tygodnika „Respekt” spotykam się niekiedy z Peterem Pláčkem, autorem pokoleniowej powieści *Medorek*. W serii książkowej „RR” ukaże się wkrótce *Dziennik pokładowy*, nowela drastycznego humorysty Víta Křemlički. Mirek Toušek prowadzi własną oficynę, wydaje między innymi tomiki patriarchy czeskiej kontrkultury, Egona Bondego. Inny przyjaciel z „RR”, Fendrych, pracuje w tym samym urzędzie, co były naczelny „Vokna”, František Stárek, czyli w MSW. „Piszę tylko rano, w ciągu dnia mamy masę innej roboty”, powiada.

Starsi literaci powrócili tam, gdzie kiedyś byli, na swoje posady w Związku Pisarzy czy w redakcjach. Poeci kontrkultury, bohema lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, notoryczne pasożyty społeczne oraz pensjonariusze domów wariatów, przez przedrewolucyjną prasę określani wyłącznie jako grafomani i alkoholicy, zajęli także godne – jak się zdaje – miejsca w społecznej drabince. Są politykami, dziennikarzami, urzędnikami, ba, nawet funkcjonariuszami policji.

Jednak nie wszyscy otrzymali tę szansę. Na emigracji ukazała się kiedyś książka Kratochvíla *Poeci w cieniu szubienic*, poświęcona literatom, ofiarom komunistycznego terrorku lat pięćdziesiątych.

*Zegnaj i lańcuch* – taki tytuł nosić będzie wybór poezji Ptačka, który całkiem niedawno popełnił samobójstwo wyskakując przez okno. Gdyby był dożył tych czasów, mógłby zostać urzędnikiem bankowym lub zakładać literackie grupy, kółka, frakcje. Mógłby podróżować po świecie – diabli wiedzą, dlaczego wybrał skok w nieznaną. Mógłby prowadzić prywatny interes czy wrócić do szkoły, bo teraz na pewno poczułby się członkiem tego społeczeństwa.

Po rewolucji dawnych aparatczyków na kierowniczych stanowiskach w wielu wypadkach zastąpili intelektualiści. Niektórym, ogarniętym zmęczeniem i depresją, marzy się kolejny skok w czasie. „Jeszcze ze dwa lata i wrócę na swoje śmieci”, stwierdza z nadzieją parlamentarzysta. „Jakoś musimy wytrzymać ten okres”. Niestety nikt nie ma pojęcia, jak będzie długi. Ludzie, którzy z narażeniem własnej egzystencji przemawiali w imieniu zastraszonej większości, boją się, że teraz ponownie grozi im kompleks ofiary. Na szczęście społeczeństwo wraca do normalności. Być może uda się to także wiecznie zagonionemu literatowi.

Dawniej dysydenci, „nie-ludzie”, dzisiaj polityczna elita oraz osoby uznawane w tym państwie za najświatlejsze apelują o pracowitość. Dziennikarze, rzecz jasna, wyżywają się teraz w bezkarnej krytyce. Ludzie chcący być razem stowarzyszają się bez ideologicznych instrukcji. Inteligencja wraca na swoje pozycje. Zatem wszystko jest już chyba w porządku. Ale „kim jesteśmy, gdzie jesteśmy, dokąd zmierzamy?” – pyta niestrudzenie klasyk, bez względu na polityczne konstelacje. „Nie wiem – odpowie poeta – być może w wehikule czasu. A może powie coś innego? Trudno wyrokować, pozwólmy się zaskoczyć debiutantom. Zresztą jakakolwiek odpowiedź zapewne i tak by niczego nie rozwiązała, albowiem poeta zazwyczaj sam dokładnie nie wie, gdzie przynależy. I chyba to dobrze.

przełożył Jan Stachowski

Jáchym Topol, urodzony w 1962 roku w Pradze, gdzie mieszka. Poeta, dziennikarz. Od roku 1985 redaktor „Revolver revue”. Publikował wiersze, przekłady i eseje w licznych samizdatowych pismach i almanachach. Autor paru tomików poetyckich. Za ostatni z nich, *Kocham cię do szaleństwa*, w roku 1988 otrzymał nagrodę Toma Stopparda.

Totalny realizm jest metodą stosowaną dzisiaj na całym świecie, lecz chyba nie jest to naszą zasługą, ponieważ także gdzie indziej doszli do wniosku, że sytuacja, w jakiej ludzkość żyła w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat, nie można przedstawić przez poetyzowanie czy poetyckie metafory, że często trzeba stanąć twarzą w twarz z otaczającą nas rzeczywistością, z jej brutalnością i zezwierzęceniem. Poeta rezygnuje z prawa do metafory czy z którejkolwiek figury stylistycznej na rzecz zestawiania obok siebie wyłącznie konkretnych realiów. O tym, że metoda ta była i jest skuteczna, będziecie się mogli przekonać na przykładzie moich wierszy.

Egon Bondy

## Totalny realizm

\*\*\*

Właśnie czytałem informację o procesie  
zdrajców ojczyzny

kiedy przysłaś  
Po chwili rozebrałaś się  
a gdy położyłem się obok ciebie  
byłaś jak zawsze miła  
Po twoim wyjściu  
doczytałem informację o ich straceniu

\*\*\*

Siedzę w swojej celi  
i przyglądam się plakatowi  
umieszczonemu na przeciwległej ścianie  
na którym jest napisane  
Kadra więzienna  
w służbie klasy robotniczej  
albo patrzę z okna  
za którym jest wieża  
i niekiedy zadziwiająco niebieski  
firmament

\*\*\*

Nie trzeba długo czekać  
radziła dobra kobieta w ogonku do lokalówki  
Jak wynajdziesz pan mieszkanie po aresztowanym  
przydzielą je panu od ręki

\*\*\*

Oficerowie i ich żony  
chodzą elegancko ubrani  
po Pradze  
a ja przyglądam się im  
z kawiarni  
Skazańcy i ich żony  
chodzą nędznie ubrani  
przyglądałem się im  
w kryminale  
tak bardzo lubię  
oficerów i ich żony

Adwent

Wczoraj była ostatnia niedziela adwentu  
za tydzień będzie Boże Narodzenie  
Ludzie kupowali mnóstwo prezentów  
Ja kupiłem sobie książkę  
Dziennik komsomolki  
Wspomnienia matki Olega Koszewoja  
a z poezji

tom na okoliczność urodzin Stalina

październik – grudzień 1950

przełożył Jan Stachowski

Egon Bondy (ur. 1930), właśc. Zbyněk Fišer. Filozof, poeta, prozaik. Absolwent Wydziału Filozoficznego Uniwersytetu Karola. W kraju – objęty zakazem druku już od lat 50. – zdołał wydać tylko dwie prace o tematyce filozoficznej (pod nazwiskiem Zbyněk Fišer). W latach 70. i 80. duchowy przywódca młodej czeskiej literatury z kręgów tzw. undergroundu.

Aktualnie jest członkiem rady programowej tygodnika „Tvorba”, który w numerze 44/1990 opublikował niektóre z jego wierszy z pozostającego w rękopisie tomu *Totalni realizmus* (1950).

TYGODNIK  
LITERACKI 13

OCTAVIO PAZ, *Wciąż te same widzenia*. Wybór i przekład Krystyna Rodowska.  
OCTAVIO PAZ, *Wokół kamienia słońca*. Wybór i przekład Carlos Marrodan. Nakładem fundacji „Literatura Światowa”, Warszawa 1990.

Piotr Matywiecki

## Zmysł udziału

Wśród wielu mało precyzyjnych wyrażań, którymi trzeba się posługiwać przy mówieniu o wierszach, jest jedno szczególnie wieloznaczne i tajemnicze, jakby stworzone po to, żeby poeta o poezji rozmawiał z poetą: **obraz poetycki**. Pierwotna intuicja znaczenia tego terminu jest bardzo silna, swoją zmysłowością góruje nad wtórnymi znaczeniami ustalonymi przez teoretyków. Według tej intuicji pierwotnej obraz poetycki to coś, co w słowie apeluje do wyobrażeń wzrokowych, do powierzchowności, coś więc, co nasza tradycja odczytywania liryki – tradycja serio, tradycja zintelektualizowana – skłonna jest lekceważyć. Dla tak uprzędzonych obraz to ozdobiak służący uplastycznieniu myśli, może podkreśleniu nastroju. Ale sam w sobie, obraz dla obrazu? – to niepoważne, powierzchowne! Zapewne nie można dziwić się takiemu anty-obrazowemu uprzedzeniu, kiedy wspomni się ozdobiaki Gałczyńskiego czy Haraśymowicza, poetów, którzy sztucznie-biżuterijną obrazowością, jak spod sztancy, wiele tu zawiniłi (rzecz jasna mówię o ich produkcji masowej, a nie o najlepszych utworach). A więc nie można też dziwić się szlachetnemu upodobaniu do poetów tak w obrazowości powściągliwych jak Herbert, czy Szymborska, którzy obrazem podkreślają surowość, precyzję i dowcip myśli. W ich poezji obraz miewa piękno własne – ale nie dla piękna obrazów piszą oni swoje wiersze.

Czasem jednak ogarnia zazdrość – w kulturach literackich bliższych uprawianiu poezji, a odleglejszych od teoretyzowania na jej temat, „obraz poetycki” jest czymś naturalnym, poza podejrzeniami o „powierzchnowość”, czymś nie wymagającym usprawiedliwienia przez funkcje intelektualne.

Pretekstem do snucia tych uwag są dwa tomiki pod jedną banderolą: nowe wydawnictwo fundacji „Literatura Światowa”, związane z miesięcznikiem „Literatura na Świecie” wydało poezje tegorocznego noblisty Octavio Paza. Jedną ksią-

żeczka – *Wciąż te same widzenia* w tłumaczeniach i wyborze Krystyny Rodowskiej, druga – *Wokół kamienia słońca* – w wyborze i przekładzie Carlosa Marrodana.

Jeśli wolno laikowi ocenić wartość przekładów jedynie poprzez efekt jaki osiągnęły w polszczyźnie, to zdaje mi się, że Krystynie Rodowskiej powiodło się w tłumaczeniu zwyciężliwych liryków miłosnych, a Carlos Marrodan odniósł sukces w *Kamieniu słońca*, w poematowej „długiej fali”.

Poezja Paza to królestwo obrazu, od wzroku się pochyla i w organicznym rozroście wiersza przepelnia wzrokiem wszystkie inne zmysły:

### Po tej stronie.

Światło. Ani je dotknąć, ani je zobaczyć.  
W jego pustych jasnościach  
spoczywa to, co widzimy, czego dotykamy.  
Opuszkami nych palców widzę  
to wszystko, czego dotykają oczy:

Cieniami rysuję światy.  
Cieniami światy płoszę.  
Słyszę puls światła po tamtej stronie.  
(tłum. K. Rodowskiej)

– To wiersz prawdziwie genezyjski i zauważmy jak mądra jest jego czysta obrazowość. Oto poeta wzrok i dotyk zrównuje we wzajemnym współoddziaływaniu poznawczym. Psychologowie naszego stulecia (Piaget) tak właśnie tłumaczą niemowlęce początki świadomo-

ści. Fenomenologowie rozważają elementarne odczuwanie świata w takim dokładnie międzyzmysłowym związku.

Można by powiedzieć, że obrazy Paza są wielozmysłowe. Presymboliści, symboliści i postsymboliści ten rodzaj obrazowania zwany synestezją traktowali jako narzędzie swoistego poznawczego interwencjonizmu – wielozmysłowe wizje brutalnie wdzierają się w świat. Paz postępuje inaczej. Jeśli wykorzystuje symbolikę (a bywa ona u niego niezwykle rozbudowana) to zawsze w najnaturalniejszym przyrodniczym rozplanowaniu, wedle presokratycznej wiedzy o wodzie, ogniu, ziemi, powietrzu. I co najistotniejsze, jego synestezyjne obrazy są jakby piątym żywiołem harmonijnie przenikającym świat, może nawet świat harmonizującym – obraz przenika wnętrza ludzkie i zewnętrzną rzeczywistość, ja i nie-ja; obraz jest też jedynym możliwym poetyckim ekwiwalentem miłosnego aktu.

W słynnym wierszu Szymborskiej „Rozmowa z kamieniem” po wielu nieudanych próbach wniknięcia do wnętrza kamienia, człowiek słyszy od głazu nieubłagany wyrok odrzucenia: „– Nie wejdziesz – mówi kamień. – Brak ci zmysłu udziału. / Żaden zmysł nie zastąpi ci zmysłu udziału. / Nawet wzrok wyostrożony aż do wszechwidzenia/nie przyda ci się na nic bez zmysłu udziału. / Nie wejdziesz, masz zaledwie zamysł tego zmysłu. / ledwie jego zawiązek, wyobraźnię.”

Otóż Pazowi udało się przechrzyć kamień – bo nie postawił na chytrą wyobraźnię uzbrojonej w ornamenti. Zawierzył czystości obrazów samych w sobie. Zmysłowi udziału.

Kiedy za pomocą obrazu poetyckiego poeta o poezji rozmawia z poetą, staje się **każdym człowiekiem**. Wyzbywszy się piękna estetów, obcując z pięknem metafizyków, pięknem bytu samego, czytelnik świata staje się poetą.



## Lubieżny nicpoń

ROBERT NYE *Falstaff*. Przekład Piotr Siemion. Warszawa, PIW, 1990, s. 514.

Powracają czasy średniowiecza, o czym świadczy ofensywa Kościoła, triumfy wszelkich odmian okultyzmu i astrologii, wręcz powszechna potrzeba autorytetu zastępującego samodzielność myślenia. Nie wiem więc, czy książka, którą pragnę czytelnikom polecić – a mianowicie powieść Roberta Nye'a *Falstaff* – przypadnie im do gustu, bo w nastroju jest całkiem renesansowa.

Autor – pisarz angielski – urodzony w 1939 r. i piszący od połowy lat pięćdziesiątych wydał kilka zbiorów poetyckich, opowiadań oraz powieści (*Merlin, Faust, Falstaff, Pamiętniki lorda Byrona*). Już po tytułach widać, że dla Nye żywe są postaci znanych z historii, mitów i legend, do dziś żyjące w tradycji kultury europejskiej. Autor wymyśla im biografie, zmienia rolę, dopisuje nowe wątki do danej opowieści.

I tak w latach pięćdziesiątych plan pisarski Nye'a powinien obejmować książki: *Don Juan*, 1991, *Guliwer*, 1993, *Dwanaście prac Herkulesa*, 1994, *Żyd Wieczny Tulacz czyli Józef K.*, 1996, *Losy Kubusia Fatalisty*, 1998, oraz *Pesymizm Kandyda*, 1999. Jeżeli Mr Nye nie podola i nie stworzy własnych wersji starych historii, to może nasi Szanowni Literaci zechcą napisać którąś z wyżej wymienionych książek. Nic panom nie przychodzi do głowy? No to może *Niebezpieczne związki* – epepeja o polskim ruchu robotniczym w stanie wojennym?

Książka może stać się zabawą. Zabawą w literaturę. trzeba tylko, by czytelnik zgodził się traktować fabułę jako grę zaproponowaną przez autora. Jest to gra z czytelnikami, z bohaterami naszej tradycji i z innymi książkami. Reguły gry poznaje czytelnik, w miarę czytania.

*Falstaff* jest opowieścią o jednej z postaci dramatów Szekspira. John Falstolf (pisownia nazwiska naszego bohatera jest bardzo różna, ma kilkanaście odmian) urodził się miał w 13787 roku. Pod koniec życia opowiada swoje – często zmyślane – dzieje. Gryziępiórki notują każde słowo, nawet to skierowane pod ich własnym adresem. A Falstolf opowiada o swych domniemanych podbojach miłosnych (językiem jurnym i nieprzyzwoitym), o walecznych czynach pod sztandarem książąt o kró-

łów (stylem bohaterskim i wzniosłym). Bohater jest znany z literatury samochwałą, kłamacą, opojem i lubieżnikiem. Jego opowieść musi być heroiczną, sprośną i niewiarygodną. Wszystkie przechwałki zostaną ujawnione i ośmieszona, a sam Falstolf przyzna się do bufonady i mitomanii.

Akcja książki toczy się na przełomie XIV i XV wieku, obejmuje osiemdziesiąt lat życia bohatera, a więc czas wojny stuletniej, ekspansji Turcji, unii Polski z Litwą (o czym są krótkie wzmianki). Znaleźć też można w powieści aluzje do zarazy – Czarnej Śmierci. Bez epidemii koloryt książki byłby uboższy.

Czas powiedzieć o języku *Falstaffa*. Przypomina dzieła Boccaccia, Rabalais'go, Rollanda (*Colas Breugnon*). Z Szekspira wzięte są osoby dramatu i kościec fabuły. W książce występują wesole kumoszki, Ofelia – jako przyrodnia siostra Falstolfa, Miranda – jako siostrzenica, Makbet – jako kucharz, oraz Romeo i Julia, Tytania (ze *Snu nocy letniej*), Henryk IV i inni.

Powieść *Falstaff* nie jest Wielką Literaturą, co najwyżej odwołuje się do takiej. Pojawiają się odniesienia do powieści łotrzykowskiej, literatury sowiżdzalskiej, także to Petrarki, do Sterna. Napisana z wdziękiem i dużą dawką kpiarskiego humoru.

Piotr Łopuszański

Hanna Baltyn

## Lekcja klasyki

WOJCIECH BOGUSŁAWSKI, *Szkola obmowy*, komedia w pięciu aktach według Ryszarda Sheridana, reżyseria Jan Bratkowski, Teatr Polski w Warszawie, premiera 5 I 1991.

*Szkola obmowy* napisana przez Wojciecha Bogusławskiego według Sheridana (*The School of Scandal*) należy do utworów na wskroś politycznych, pisanych dla potrzeby chwili. Wystawiona w styczniu 1793 roku, sztuka miała być jednym z narzędzi postępowej, prokrólewskiej propagandy w walkach frakcyjnych Sejmu Czteroletniego. Wystawiona w styczniu roku 1991 – zachowała po trosze swój „obywatelski” charakter, choć ani – jak u Sheridana – nie portretuje konkretnych osób, ani jak u Bogusławskiego – nie walczy z Targowicą.

Jest za to – jak wtedy – śmieszna i równie aluzyjna („w Warszawie lichwiarze karetami się rozbijają”). Już te dwie cechy wystarczą, by iskra zainteresowania przeskoczyła ze sceny na widowieństwo i ożywiła teatralny wieczór. Jest też *Szkola obmowy* w interpretacji Jana Bratkowskiego sztuką na wskroś „warszawską”. Każdy mieszkaniec stolicy usadowiwszy się wygodnie w krzesłach Teatru Polskiego coś z prześmiewek na temat syreniego grodu weźmie i do siebie. Ta konkretyzacja miejsca dokonuje się i wzmacnia dzięki – przydługim nieco, ale potrzebnym stylizacji – intermediom skonstruowanym z farsowej sztuczki Bohomolca *Arlekin na świat urażony*.

Stylizacja, udatna i gustowna, jest w tym przedstawieniu kwestią zasadniczą. Podlegają jej wszystkie elementy spektaklu. Scenografia Łucji Kossakowskiej to aluzja do XVIII-wiecznego teatru. Mamy tu więc perspektyw, kulisy i malowaną kurtynę z wędutą Warszawą. Kostiumy ukazują tak żywą w niegdysiejszym teatrze walkę fraka z kontuszem, wąsów z peruką. Kawalerowie noszą się kuso z francuska, rdzenna szlachta zaś bogato, suto, po polsku; żona i inne damy – modnie. To jakby ożywione postaci z satyr Krasickiego. Od razu wiadomo, kto tu zły, kto dobry; tylko mundur kapitana Walerego jest neutralny w tym sporze. Mundur przystoi dzielności młodych.

Gra aktorów też jest stylizowana. Śmieszą rzadko obecnie stosowane uwagi na stronie, przemowy i kwestie – niby do siebie – a mówione wprost do widza, gra „na wprost”, blisko ramy. Wspaniałe efekty daje to w wykonaniu protagonistów: Janusz Zakrzeński (Starosta Gdyrański) i Marzena Trybała (Dorymena, jego żona) są i śmieszni, i prawdziwi. Natomiast nie popłaca przesada, nawet w rolach charakterystycznych: Olga Sawicka jako Wydrzyńska, mimo (a może z powodu) niewątpliwie starannej pracy nad słowem, była nabyt charakterystyczna, by nie powiedzieć – groteskowa. Utrzymali natomiast styl swych molierowskich typów Wiesław Golas (Wierszopis Ramota) i Ryszard Nawrocki (Doktor Recepta).

Dla epoki charakterystyczne są nazwiska mówiące: były u Sheridana, są u Bogusławskiego. Nadto Bogusławski, mimo pośpiechu (Karol Frycz pisze, że przeróbki dokonał w tydzień), zdobył się w *Szkole obmowy*, począwszy od znakomicie przełożonego tytułu, na bardzo ładne gry lingwistyczne i wyjątkowo zabawne dialogi. Mamy tu gry słowne („uraczył się nieborak”), czy arcydzieło twórczości wierszopisarskiej Ramoty, czterowiersz zakończony rymami „składa się/ czasie/ w zapasie/ umizga się”. Nadto – wyborne wyciągnięte z tekstu przez aktorów, przede wszystkim przez główną intrygantkę, podstolinę Plotkiewiczową (Krystyna Królówna), aluzje do zle-

go prowadzenia się bliźnich, ich nałogów i kompromitujących skutków tegoż i owegoż. Bratkowski i zespół Polskiego grają z konwencją, z inwencją i z talentem. Zamiast odgrzewanej ramoty, solennych nudów na pudy, dali sporo w najlepszym gatunku rozrywki – widom wyrafinowanym stylizacyjne smaczki, a wszystkim innym zabawę z ludzkich słabostek i morał, że „obywatele, którzy niezgodą i potwarzą czernią się przed światem, zasługują na nienawiść własnych rodaków i wzdardę postronnych narodów”. Właściwy to przypis i uwaga do stylów gier politycznych uprawianych w każdym miejscu i czasie.

Komedia o dwóch braciach – prostodusznym utracjuszu i świętoszkowatym obłudniku, bogatym wuju i zatopionej w intrygach „Warszawce” bawi więc i cieszy.

Nigdzie się plotki tak bujnie nie rodzą  
Nigdzie tak pięknie nie kwitną, nie wschodzą,  
Nigdzie nie są w takiej sławie  
Jak tu w Warszawie.

Julian Niemcewicz, Plotki

Natura ludzka mało się zmienia, więc intrygowanie, politykowanie, oczernianie bliźnich oraz pokazywanie, do jakiego stopnia ludzie subiektywnie pojmują to, co prawdziwe i godne, co zaś oszczerce i niegodziwe, i dziś daje do myślenia. Że zaś obmowa jest cechą niezbywalną warszawskiego życia towarzyskiego, niech zaświadczy młodszy o dwa pokolenia Marian Gawalewicz:

„...warszawska plotka, której wystarcza cień cienia, aby z niczego stworzyła cały świat potwarzy, która umie podpełznąć jak gadzina, a rzucić się jak ryś na upatrzoną ofiarę, brzęczeć jak komar i turkotać jak młyńskie koło, chować głowę jak żółw, a związać się w kołczasty klębek jak jeź stoczyć sławę bliźniego jak termita, a ukłuć jadownicą jak skorpion – plotka stuletna i stużądłowa...”

# Estetyka stanu przejściowego

oto mamy stan wojny estetycznej, w której biorą udział wizualne symbole książki: okładka, strona tytułowa. Bój toczy się na oczach publiczności – księgarskiej i ulicznej, tej przede wszystkim. Siły są nierówne. Na stelażach coraz mniej powściągliwego znaku graficznego o charakterze autorskim, coraz więcej rozbuchanego ilustratorstwa, opowiadania o książce przez wyrysowanie zawartych w niej treści (w anonimowym często wykonaniu).

Po tę metodę prezentacji książki sięgają dziś również firmy tak zasłużone dla polskiej grafiki książkowej jak „Czytelnik” czy PIW, jakby w przekonaniu, że okładka ilustracyjna zawsze lepiej książkę reklamuje choć naprawdę... naprawdę bywa różnie. I bywa, że spanikowany wynikami sprzedaży wydawca, wywierając presję na doświadczonych grafikach, doprowadzając do ostrych konfliktów artystycznego sumienia. Graficy ratują się albo ucieczką, niestety także od książki w ogóle, albo próbami przystosowania. – Czy będę teraz musiał zdołać pod dyktando, malować na okładkach kicze? – niepokoi się, po latach pracy w tym samym wydawnictwie, niejednym z najlepszych i najczynniejszych polskich grafików książki.

Ale w sytuacji dramatycznego albo – albo – komercja albo wartości – bywają

i stanowiska pryncypialne. Takie prezentuje na przykład Jan Bokiewicz, który od trzydziestu prawie lat opatruje okładki w lakoniczny znak plastyczny, autorski obraz, najczęściej ze słów. Nie ma on zamiaru wycofać się z tej roli, której



najlepsi owi dopracowywali się przez dziesięciolecia, roli eksperta-projektanta, dyktatora smaku. Taką rolę pełnili, między innymi Jolanta Barącz, Andrzej Heidrich, Jerzy Jaworowski, Jan Młodożeniec, Wiesław Rosocha, Waldemar Świerzy, Henryk Tomaszewski, Maciej Urbaniec. Ich propozycje graficzne, bynajmniej nie hermetyczne, by przypomnieć graficzne wizerunki takich serii jak „plus minus nieskończoność”, „czarna” seria współczesnej prozy światowej PIW lub czytelnikowska „Nike” (Urbaniec, Świerzy Heidrich), stały się osiągnięciami polskiej kultury, nie tylko wydawniczej.

Nowa sytuacja polskiej książki – po raz pierwszy sprzedaż treści uzależniona została od opakowania – wymusza nową hierarchię wartości, a ta domaga się nowego ładu estetycznego. I te nowe formy już się z wolna kształtują... Na razie bardziej w prasie niż w książce, zwłaszcza w prasie przeznaczonej dla elitarnych środowisk związanych z kulturą. Wymieńmy tu czasopisma: „Res Publica” (ze stylistyką „szorstkich” okładek, w których dwaj graficy wykorzystują doświadczenia w projektowaniu druków dla drugiego obiegu), „EXIT – nowa sztuka w Polsce”, „Obieg”, „Goniec Teatralny”. Ale będą też na tej liście pisma informacyjne, „Gazeta Wyborcza”, „The Warsaw Voice”.

Wśród wydawnictw książkowych zapowiedź nowej estetyki niosą oszczędne, wręcz surowe w wyrazie, liternicze okładki książek wydawnictwa „Res Publica”, które już zdołały pobudzić – korzystny w tym przypadku – snobizm odbiorcy. Są więc oznaki, że grafika polskiej książki zdoła uwolnić się od mentalności bazaru (na bazarze jest wszystko, i wymieszane), jako stanu przejściowego, po którym nastąpi estetyczne otrzeźwienie

Joanna Jągers

## polemiki

# Czytając Horubałę dziś

Trzy kolumny druku poświęcone Adamowi Michnikowi... – To będzie fundamentalne! – myśli czytelnik. Po lekturze ukazując mu się kolos na glinianych słowach. Sprawiedliwa to kara dla artykułu, który za przedmiot krytyki wybrał wielkie słowa.

W szkicu Andrzeja Horubały „A. M. B. M. – czytając Michnika dziś” sprawa „wielkich słów” najbardziej mnie wzburzyła.

Krytykując rzekome nadużywanie przez Michnika „wielkich słów” Horubała zapytuje: „dlaczegoż to inteligencja, zazwyczaj niezwykle powściągliwa jeśli chodzi o język moralistyki tym razem zezwoliła na tak rozrzutne szafowanie słowem?” – Jest to pytanie niechlujnie postawione, nie osiąga poziomu kwestii do dyskusji. Trzeba by bowiem zadać gwałt zdrowemu rozsądkowi i zgodzić się, że inteligencja była cenzorem Michnika, że miała wobec niego moc „zezwalania” lub „zabrania”. A kiedyż to było? – z wywodów Horubały wynika, że od połowy lat siedemdziesiątych. Pogratulować poczucia sprawiedliwości! Zarzuty, że ci, którzy zwalczają cenzurę sami są środowiskowymi cenzorami stosował wówczas cenzor partyjny – w licznych wcieleniach. Słyszę już krzyk oburzenia: jak można te argumenty zestawiać z tamtymi! Odpowiadam: jak można, będąc krytykiem dzisiaj, nie odróżnić swoich argumentów od tamtych, sformułowanych w złej wierze!

Na źle postawione pytanie o wielkie słowa, a raczej o to, czemu na nie „zezwolono” Michnikowi, Horubała sam sobie odpowiada trzema hipotezami.

Pierwszą ledwie postawił, już uchyla – to ta,

która miałaby wskazywać na „środowiskowe uwarunkowania tego rodzaju zezwolenia”. Nie rozpatruje jej, ale w świadomości czytelnika pozostawia, z sugestią, że chodzi o wpływ byłych stalinistów, z sugestią także, że nie całkiem byłych. Pozostawia więc – ale nie dowodzi. Ani ich wpływu, ani pozorności ich wewnętrznej przemiany. To się nazywa oszczerstwo. Jest nim tym bardziej, że nie wymienia się nazwisk. Bo to znaczy – „oni wszyscy”.

Druga hipoteza – interesowność literatów. „Odtąd wysoką pozycję na giełdzie literackiej można wypracować przemówieniem lub listem otwartym miast dobrą powieścią”. I znowu Horubała łaskawie się wycofuje: „Tak, tylko tego rodzaju insynuacja pomija fakt narażenia się na represje”. Nieskuteczna minoderia. Jeśli ktoś sam nazywa swoje sugestie insynuacją, to nie znaczy, że nie jest winien insynuacji. Horubała zapoznaje jakkolwiek etyczną motywację publicznych działań literatów. Widać nie jest w stanie wyobrazić sobie, że komus protest przeciw złu – bo o to chodziło w owych przemówieniach i listach – może dyktować wolne sumienie, niezależne od miłych ale marnych środowiskowych nagród, i od represji dla sumienia nieistotnych. Horubała jest niesprawiedliwy i małoduszny. (Czy i te dwa słowa uzna za zbyt wielkie?)

Hipoteza trzecia jest sensowna sama w sobie, ale nijak się nie ma do pseudopytania, na które miałaby odpowiedzieć. Pochodzi od ks. Józefa Tischnera przywołanego długim cytatem. Ks. Tischner polemizuje w nim z Michnikowymi terminami „demokratyczny socjalizm” i „laicka lewica”. Nie krytykuje ich jednak jako „wielkie słowa”, ale jako instrumenty politycznej perswazji, jako wyrażenia zawierające sprzeczność. Sugeruje „moralną demagogię” ich użycia – a więc to właśnie, że nie są wielkimi słowami sumienia.

Horubała zdaje się sądzić, że wielkości „wielkich słów” nie ma poza ich dość trywialną pragmatyką: tam, gdzie one są „być może koniecznym azychem ruchów opozycyjnych”, gdzie „utwierdzają w przekonaniu o słuszności”.

Ale jeśli nie chce uznać jakiegokolwiek etyki ufundowanej na wartościach innych niż pragmatyczne, to niech w imię zwyczajnej przyzwoitości wobec intencji poety nie wyrokuje w sporach o etyczne sensy liryki Herberta. A z tego sporu uczynił casus belli, zaś wynik wojny tak podsumował: „Michnik namaszczał Herberta na antytotallitarnego wieszcz”.

Już czas, żebym coś od siebie powiedział o wielkich słowach. Jestem przekonany, że jeśli coś naprawdę zawdzięczamy polskim pisarzom lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, to właśnie pracę nad oczyszczaniem słów, przywracaniem im wielkości, wydobywaniem głębokiego etycznego sensu z wyrażen okaleczonych przez kłamliwe użycie ideologiczne. Zawdzięczamy im przywrócenie otwartości i bezkompromisowości wyrażeniom, które w obronnych unikach zmieniono w pseudoironiczne, w samodrwiące, małoduszne. Odnoszę wrażenie jakby mnie Horubała z powrotem w taką małoduszność zapędzał. To jest tym boleśniejsze, że namawia się mnie do małodusznego użycia słów nie wobec idei, a wobec osoby.

Jeśli żyje się w jakimś społeczeństwie i chce

się prawdziwie opisać osobę publicznie w nim działającą, to trzeba zachować elementarny szacunek poznawczy dla tej osoby, dla społeczeństwa, które jej mit wytworzyło, dla siebie samego jako sprawozdawcy stanu rzeczy.

Powinno się zakładać szczerze tego, jak się ta osoba chce nam objawić. Jeśli Adam Michnik w czasach antywartości zobowiązał się – razem z innymi – brać etykę na serio i wziął przy tym społeczność na świadków takiego wzajemnego zobowiązania, jak i ona jego wzięła, to przez szacunek dla takiego aktu nie godzi się tu być sędzią, jeśli nie ma się dowodów zdrady albo fałszywego świadectwa. A i wówczas lepiej byłoby pamiętać o owym „nie sądzicie...”

Można oczywiście być krytykiem takich niepisanych umów, etycznych zakładów. Ale z pewnością nie powinno się być ich destruktozem. Niesłuszne, niegodne ośmieszenie jest destrukcją szlachetnego zakładu o etykę. Horubała sugeruje, że cytowany przez Michnika w roku 1973 fragment listu Piłsudskiego stał się „impulsem do wielu działań opozycyjnych”. Jakby ludzie byli ślepi na swoją terażniejszość. Równie miły jest dla intelektualistów „w parę lat po Grudniu 81” – „Problem sensu zaangażowania czy wyjątkowości skutków odmowy przemilczany był z całą premedytacją” – tak, miało się wówczas tę premedytację, bo odmowa wzbogacała.

Przez szacunek dla Andrzeja Horubały muszę koniecznie. Jest kim jest. Porównywać Go z nikim nie chcę.

Piotr Matywiecki

PS. Źle postawione pytanie Horubały zmusza mnie do zabrania głosu w domyślnej kwestii merytorycznej dopiero w post scriptum. Rzeczywiście książka *Z dziejów honoru w Polsce* pełna jest wielkich słów. Ale czytało się ją i czyta z wiedzą o czasie i okolicznościach. Fałszywy patos może pojawić się, gdyby ją czytano bez takiej wiedzy. Wówczas nadużycie słów byłoby winą krytyka.

Czy sztuka poczęta z rozpaczliwej świadomości beznadziejnie złego urzędzenia świata może być naprawdę wielka? Albo inaczej: czy prawdziwej sztuce wolno zwątpić w człowieka i rzeczywistość, którą na swą zgubę stworzył właśnie tak? Pytania z pozoru akademickie – w istocie bardzo ważne, gdy odnieść je do konkretnych przykładów.

W Związku Radzieckim już od kilku lat trwa gigantyczna praca legionu twórców wszelkiej maści, próbujących podsumować w języku artystycznym cały ogrom cierpień, który przez ponad siedemdziesiąt lat gniótł wszystkie narody tego kraju. Powstaje jedyny w swoim rodzaju katalog nieszczęść;

Mateusz Werner

## Czy Muratowa nienawidzi?

kosztem ogromnego wysiłku inwentaryzowane są ludzkie krzywdy i ich społeczne skutki: bezmiar demoralizacji i psychicznych nienawiści, które objęły wszystkie warstwy społeczeństwa radzieckiego, przepelnia karty książek i kinowych ekranów.

W filmie radzieckim powstała zupełnie nowa formacja, popularnie określana mianem „kina pierestrojki”. Tacy reżyserzy jak Lungin, Piczul, Goworuchin, Smirnow, Arapetian, Sokurov, Abdraszycow i wielu innych – każdym swoim filmem kreślą kolejny przerażający rys koszmarnego portretu radzieckiego człowieka i jego sytuacji. Wstrząsająca mozaika, a przecież wiadomo jak jeszcze niepełna i fragmentaryczna w swoim opisie. Ten okrutny seans prawdy ma dwa oblicza: masowej produkcji „Gulag Stories”, których przesyt już od dawna odczuwa bardziej wysublimowana część publiczności i – znacznie trudniejsze – próby uświadomienia rozmiarów спустoszeń jakich dokonał system sowiecki w człowieku. Ten drugi typ filmów jest domeną artystów młodszego pokolenia. Rozgoryczeni i pozbawieni wszelkich złudzeń, widzą swoją ojczyznę jako zryty gąsienicami buldożerów śmietnik z wegetującą na nim hordą współczesnych jaskiniowców zwierzęco determinowanych przez pierwotne instynkty. Czasem zdarzy się jakaś miłość, czasem pojawi się jakiś humor, ale rachityczne to, niemrawe, przyprowadzone zwątpieniem, gorzką niewiarą – i tak wszystko zmierza ku niezmiennie rozpaczliwej poście. Agresja, brutalność, brak skrupułów, moralnych i obyczajowych hamulców, zatrata poczucia jakiegokolwiek hierarchii wartości (poza mającymi związek z bezpośrednią konsumpcją), dezintegracja podstawowych więzi społecznych, pogarda dla kultury, tradycji – oto co składa się na życie w Związku Radzieckim wedle najmłodszych i najbardziej rozniewianych.

Jednym z najsłynniejszych dzieł nowego kina radzieckiego jest *Asteniczny syndrom* Kiry Muratowej – film nagrodzony Grand Prix w Berlinie Zachodnim (1990), doceniony, opukany i wychuchany przez zachwyconych – w większości – krytyków. Wielu z nich twierdzi, iż Muratowa dała w swym dziele najpełniejszy obraz kataklizmu społecznego jaki się w Związku Radzieckim dokonał. Mówi się przy tym wiele o „głębokości” spojrzenia Muratowej, o jej braku

chęci epatowania łatwo szokującymi przykładami, o jakiejś bliżej nie sprecyzowanej humanistycznej nadwyżce znaczeniowej, która sprawia, że w jej sztuce nie ma historycznego tonu Jacopettiego, a jedynie obiektywna diagnoza i trochę irracjonalnego, kobiecego ciepła.

Do niedawna sam w to wszystko wierzyłem, a nawet powtarzałem innym. Teraz (kiedy obudziłem się i przejrzałem) odwołuję wszystko i twierdzę, co następuje. Śmierć męża bohaterki z pierwszej, czarno-białej części filmu, symbolizuje nie tyle śmierć Nietzscheańskiego Boga, co w ogóle jakiegokolwiek Przyczyny, Sensu Istnienia. Bohaterka łąca ludzi na ulicy, plując im w twarz, pogardliwie, nienawistnie policzkująca ich – to bynajmniej nie symbol upadku człowieka w rozpacz. To filmowe porcie-parole samej Kiry Muratowej otepiałej zgrozą własnej diagnozy postawionej otaczającemu światu, zapadłej w stan „astenicznego syndromu”. Późniejszy ciąg koloro-

MATEUSZ WERNER

wych sekwencji, ten koszmarny kalejdoskop panopticon normalności jest zimnym (będę się przy tym upierał) uzasadnieniem głuchej nienawiści. Wielkość Muratowej polega moim zdaniem nie tyle na przenikliwości w pokazywaniu ludzkiego upodlenia, co na krańcowo radykalnym w swojej ostatecznej uczciwości – stwierdzeniu, że tak naprawdę to dokładnie nie wiadomo, czy ludzie są źli, bo ich zdeprawował system, czy też system został tak straszliwie skonstruowany, bo tak potworni są w swej istocie ci, którzy go stworzyli – ludzie. Obecność w filmie sceny z tak zwanego utyłcecha (radziecka „hyclownia” – zakład mordowania bezdomnych psów) przekonuje mnie, że Muratowa skłonna jest raczej przyjąć tę drugą, znacznie mniej wygodną tezę. Wszak w tym wypadku przestaje być już ważne czy mowa o człowieku radzieckim czy amerykańskim. Homo sapiens pozbywa się w ten sposób niepotrzebnych zwierząt – niezależnie od ustroju politycznego.

Krańcowość postawy Muratowej manifestuje się także w tym, iż – konstruując właśnie tak swoje dzieło – umieszcza siebie na samym początku listy pozbawionych człowieczeństwa (przez nienawiść), ba, odpowiedzialnych za zwierzęcość pozostałych. Tym różni się od tych koncesjonowanych buntowników, przypominających, jak choćby Lindsay Anderson – rozkapryszony dzieci, dające sobie łatwutkie rozgrzeszenie samym faktem powiedzenia (i to nie do końca) zaledwie kilku słów prawdy o świecie. Nazwisko Andersona padło tu nieprzypadkowo – choć było tyle innych pod ręką... – gdyż w swoim „O, Lucky Man!” posłużył się, podobnie jak później Muratowa, metodą fabuły ledwie usprawiedliwiającej luźną, asocjacyjną strukturę mini-etud składających się na filmową całość. Te etudy to policzki wymierzone sytemu światu okrutnego absurdu – pulchną rączką zadowolonego z siebie, zawodowego kontestatora. Muratowa oskarża się pierwsza, zanim oskarży innych – resztę świata.

Film Muratowej zaczyna się śmiercią zabsolutyzowanych wartości, nie może więc dobrze się skończyć. W swój wewnętrzny idiom wpisana ma rozpacz nieuchronnego, bez-nadziejnego końca. Czy to ludzkie, by takim filmowi przyznać miano arcydzieła? Jeśli tak – podpisaliśmy już na siebie wyrok i dni nasze są policzone.

## ...Szukając tego,

### II. Od autobiografii do mitu Księgi.

Summę medytacji Miłosza o świecie i słowie, *Ziemię Ulro* otwierają pytania, które już przez samo umiejscowienie w dziele brzmią znacząco. „Kim byłem? Kim jestem teraz, po latach, tutaj na Niedźwiedzim Szczycie, w mojej pracowni nad *Pacyfikiem*?” (ZU, 21) Miłosz zadaje te pytania w sposób szczególny, tak jakby chciał przywrócić kolejną padającym słowom ich zapomniany, fundamentalny wymiar. Jakby chciał przypomnieć, iż „każde zapytywanie jest poszukiwaniem”. Rzeczywiście: owe pytania przekształcają *Ziemię Ulro* w przestrzeń poszukiwania i namysłu, zwracającego się wciąż w stronę tego, co poszukiwane: tożsamości pytającego, znaczenia jego odrębności i samego bycia przezeń w świecie.

Nie jest to w twórczości autora *Nieobjętej ziemi* sytuacja wyjątkowa. Przeciwnie, Miłosz powraca wielokrotnie i na różne sposoby do takich momentów, w których świat jako całość, albo któryś z jego aspektów, wymiarów, elementów – staje się problemem, odslaniając perspektywę czy drogę namysłu... „I coraz częściej (...) – powiada wprost w jednym z -17wierszy – Z gasnącym papierosem Gauloise, /Nad szklanką czerwonego wina, /Myślę o tym co znaczy być tym a nie innym”. („Co znaczy”, W II, 64). Gdzie indziej zaś, pozornie stwierdzając, w rzeczywistości wskazując kierunek, w którym podąży myśl: „Jestem tu. Dwa te słowa zawierają wszystko co można powiedzieć, od nich się zaczyna, do nich się powraca. Tu – to znaczy na tej ziemi, na tym a nie innym kontynencie, w tym a nie innym mieście, w tej epoce którą nazywam moją, w tym stuleciu, w tym roku. Nie jest mi dane żadne inne miejsce ani żaden inny czas (...)”. (WSF, 7)

Ciągła obecność pytania, ciągłe problematyzowanie własnej sytuacji w świecie i wobec świata wpływa na tonację i strukturę nie tylko wymienionych tekstów, ale całego właściwie dzieła Miłosza. Pytania zadawane przez poetę stają się w tym dziele punktami, w których najmocniej odslania się jego wyobraźnia (pojmowana jako siła kształtująca obraz świata), wokół których krystalizują się podstawowe sensy, najistotniejsze odpowiedzi... Ponieważ zaś, jak mówiłem, pytania te kierują najpierw w stronę tożsamości i odrębności samego pytającego, więc też jego dzieło ukazuje się nam jako seria – całościowych bądź częściowych, jawnych bądź zamaskowanych, dosłownych bądź figuralnych, konstruowanych z zewnętrznych zdarzeń bądź wewnętrznych przysądów i przemyśleń – autobiografii i autoportretów.

Taka właśnie strategia budowania tekstu jako wariantu autoportretu czy autobiografii jest szczególnie widoczna w centralnej linii emigracyjnego dzieła Miłosza, biegnącej od *Traktatu poetyckiego* (1957) poprzez *Rodzinną Europę* (1958) i *Gdzie wschodzi słońce i kędy zapada* (1974) aż po *Ziemię Ulro* (1977). Przy czym sposób pytania o tożsamość i uobecnianie własnej osobowości jest tu za każdym razem odmienny...

Najbliższą tradycyjnym wyobrażeniem o konstruowaniu autobiografii jest zapewne *Rodzinną Europę*. Rytm zdarzeń, układających się w jednostkową, prywatną biografie Miłosza (od Szetejni po Waszyngton i Paryż połowy wieku) jest tu nieustannie zderzany z innymi porządkami: porządkiem historycznych konwulsji lat 1910–1950, odbijających się w świadomości dziecka, młodzieńca, mężczyzny, będącego ich dalekim obserwatorem, świadkiem czy uczestnikiem – i porządkiem idei, pojawiających się na horyzoncie myślenia, współczesnych poeie. W tym ostatnim porządku istotne są dwa zwłaszcza wątki,

spotykające się nie tylko w rzeczywistości, lecz także w indywidualnym doświadczeniu Miłosza. Pierwszy wiąże się z katolickim wychowaniem przyszłego poety (RE, 61–77), wczesnym zainteresowaniem historią Kościoła, a zwłaszcza historią herezji oraz z tomistyczną – czy może Maritainowską – przygodą z końca lat trzydziestych. U początku drugiego tkwi być może fascynacja postacią Naphty z *Czarodziejskiej góry* i głoszoną przezzeń wizją historii. Z tym wyjątkiem łączy się niewątpliwie radykalizm poglądów, wyznawanych przez Miłosza na początku lat trzydziestych, ówczesne i późniejsze (tak aprobujące, jak i negujące) zainteresowanie Rosją i marksizmem (RE, 92–127), wreszcie intelektualna przyjaźń z Tadeuszem Krońskim i związane z nią „ukaszanie heglowskie”, fascynacja Ruchem, stawianiem się jako zasadą rzeczywistości (RE, 214–246)... Konfrontując dzieje jednostki z rytmem politycznych zdarzeń i z przemianami idei, ukazuje zarazem Miłosz losy swego pokolenia, a także genealogię i system wartości intelektualisty pochodzącego z Europy Środkowej, owej „innej Europy”, której istnienia i odrębności będzie zawsze bronił...

Sposób ujawniania żywiołu autobiograficznego w *Ziemi Ulro* jest o wiele bardziej skomplikowany. Perspektywa zewnętrznych zdarzeń znika w niej niemal całkowicie na rzecz opisu duchowej przygody, której celem jest nadanie sensu własnemu doświadczeniu świata poprzez odnalezienie doświadczeń podobnych, ożywionych pokrewnym sposobem myślenia i odczuwania. Dlatego, aby odpowiedzieć na pytanie „Kim jestem?” rozważa Miłosz sens doświadczenia Swedenborga, Blake’a, Mickiewicza, Dostojewskiego, Oskara Miłosza... Namysł nad ich dziełem – czy może raczej – nad sposobami ujmowania przez nich świata, nad pytaniami, które temu światu stawiają, prowadzi go w stronę przekonania, iż nie można rozstrzygnąć problemu tożsamości współczesnego człowieka, nie można określić jego sytuacji w świecie bez unaooczenia przemian, jakim uległa w ciągu kilku ostatnich stuleci (zwłaszcza zaś od połowy XVIII wieku do dziś) – wyobraźnia religijna. (Jak widać, perspektywa problemowa, otwierana przez *Ziemię Ulro* jest o wiele szersza niż w *Rodzinną Europę* – można to zresztą odczytać już w semantyce tytułów obu dzieł).

Między autobiograficzną perspektywą *Rodzinną Europę* i *Ziemi Ulro* istnieje relacja dopełniania, wzbogacania. Podobnie można ująć następstwo *Traktatu poetyckiego* i *Gdzie wschodzi słońce*. Pierwszy z poematów, bezpośrednio poprzedzający *Rodzinną Europę*, a niewątpliwie kontynuujący problematykę *Traktatu moralnego* i *Zniewolonego umysłu*, w poszukiwaniu istoty doświadczeń, które spotkały od schyłku XIX do połowy XX wieku Polaków (czy szerzej – wszystkich spadkobierców i współuczestników wspólnoty zwanej kiedyś patetycznie kulturą europejską), i które stały się wyzwaniem i zadaniem literatury o tyle, o ile chciała ona sprostać rzeczywistości – zwraca się przede wszystkim w stronę zetknięcia człowieka z mechanizmem Historii i Polityki. *Traktat poetycki* ukazuje działanie demonicznej strony Historii (tej, która sprawiła, iż „W Duch Dziejów uotzamsił się z Duchem Ziemi) na ludzką świadomość, analizując destrukcyjny wpływ na nią przekonania, iż stawanie się jest istotą rzeczywistości... Poemat drugi, następujący po *Widzeniach nad Zatoką San Francisco* i poprzedzający *Ziemię Ulro*, koncentruje się na doświadczeniu wewnętrznym, przy czym namysł kieruje się w nim nie w stronę historyczności (a więc też czasowości), lecz raczej szczególnie pojętej przestrzenności. Ten namysł dotyczy domowej ojczyzny poety, małego kraju „gdzie przyroda jest ludzka,



# co jest Rzeczywiste (2) Marian Stala

na miarę człowieka, gdzie w ciągu stuleci współżyły ze sobą różne języki i różne religie" (ZMU, 351). Uobecnia on siłą jednostkowej pamięci i wyobraźni Laudę, będącą nie tylko realnym miejscem, ale też krainą, „o której pewien znakomity alchemik napisał, że znajduje się tam, gdzie ją umieszcza pierwsza i najważniejsza z potrzeb naszego umysłu, ta sama potrzeba, która powołała do życia geometrię i nauki ścisłe, filozofię i religię, moralność i sztukę" (W II, 230). Punktem dojścia tych medytacji jest nie historia, lecz teologia, która – jak u późnego Brzozowskiego – „jest najgłębszą nauką o naturze człowieka" i przestrzeni jego egzystencji.

Wymienione przed chwilą teksty nie wyczerpują wszystkich odcieni i aspektów autobiografizmu w dziele Miłosza. Przeciwnie, zdają się one oddziaływać na pozostałą jego część, określając sposób jej interpretacji. W ich świetle swoiście autobiograficzne sensy odsłaniają nie tylko *Zniewolony umysł* czy *Miasto bez imienia*, lecz także (choćby wbrew wypowiedziom samego Miłosza) – *Dolina Issy*... W kształtowaniu duchowego autoportretu uczestniczą nie tylko *Prywatne obowiązki*, „prywatna księga różności", *Ogród nauk* (ON, 9), czy zbiór *Zaczynając od moich ulic*, ale też sylwetki Stanisława Brzozowskiego i Simone Weil, jawna w dziele Miłosza obecność mitu i poezji Mickiewicza i ukryta – Cypriana Norwida, wreszcie wybór tekstów, które poeta z Berkeley przełożył, bo nie darmo pisał on przed kilku laty: „Na ogół szukałem u tłumaczonych przeze mnie poetów pomocy w wypracowaniu własnego idiomu" (Gorliwość tłumacza, ON 171)...

Krótko mówiąc: odwrotną stroną bezustannego poszukiwania tożsamości jest w dziele Miłosza, podejmowany wciąż od nowa – przed oczyma czytelników – wysiłek budowania własnego obrazu... Zmusza to interpretatora do odpowiedzi na pytanie o charakter, sens i funkcję autobiografizmu Miłoszowskiego dzieła. Zmusza tym bardziej, iż dzieło to nie absolutyzuje subiektywności, a przeciwnie: dąży do zbiektywizowania wizji świata, do wyeliminowania z niej tego, co względne i przypadkowe. Sprzeczność ta jest pozorna, to znaczy powierzchowna – kieruje ona jednak w stronę nader istotnych kwestii i paradoksów.

Jak się zdaje, jednym z fundamentalnych elementów Miłoszowskiego światoodczucia jest bardzo intensywne przeżycie jedyności i szczególności własnego istnienia i kształtu losu, a więc także poczucie bycia wybranym. Wewnątrz świata kreowanego przez Miłosza przeżycie to nie da się zredukować ani zracjonalizować. Jest ono czymś danym pocie (kategoria daru odgrywa w myśleniu autora *Świata* dużą rolę...) – i jako dane pojawia się też przed czytelnikiem. Jest to przy tym przeżycie tajemnicze i paradoksalne. Tajemnicze, a więc domagające się pytania, odsłonięcia. Paradoksalne, bo pytanie o jego istotę, choćby prowadziło do częściowych odpowiedzi, w końcu stawia pytającego w obliczu „nieobjętej ziemi" (jak to nazywa jedna z ostatnich książek Miłosza), a więc unaocznia ciągłą obecność tajemnicy w strukturze świata...

Paradoksalność wspomnianego przeżycia może też być tłumaczona inaczej. Świadomość szczególności własnej egzystencji stanowi z pewnością fundament wartości afirmujących, podnoszących ego. I jednocześnie kryje się w niej pokusa czy zagrożenie, które wiąże się z grzechem pychy, ujawniającym ciemną stronę osobowości, podatną na podszepty Księcia Tego Świata. Wybranie łączy się też z podjęciem odpowiedzialności – nie tylko za siebie, ale także za własny świat. To zaś okazuje się częściej przekleństwem i cierpieniem niż dobrodziejstwem... Dzieło Miłosza powraca wciąż do tematu odpowiedzialności, jak

i do problemu zagrożeń niesionych przez nadmierne uroszczenia ego. Jest też szczególnie uwrażliwione na samą kategorię grzechu i jej miejsce we współczesnym myśleniu...

Wreszcie – paradoks najistotniejszy. Jedynność i szczególność osobowego doświadczenia mogą być w obrębie pewnego stylu myślenia, czy szerzej, pewnej kultury, uznawane za wartości – ale też właśnie jako jedynność i szczególność są one w dużej mierze nieprzekazywalne, niemożliwe do komunikowania, które ex definitione nastawione jest na wspólnotę odczuwania. Świadomość nieprzekraczalności tej antynomii powraca w wielu miejscach dzieła Miłosza, ma ona też decydujące znaczenie dla zrozumienia autobiograficznego charakteru tego dzieła.

Przeżycie szczególności własnego losu, poczucie wybrania to wedle Miłosza wartości potencjalne, które domagają się aktualizacji. „Bo nie jest światło, by pod korcem stało" – Wymaga to odsłonięcia bądź ustanowienia związku wspomnianych wartości – ze światem wartości rzeczywistych, zbiektywizowanych. Nie wystarczy więc sama świadomość iż jest się wybranym, trzeba jeszcze tak zbudować obraz swego losu, swej osoby, by poprzez jego niepowtarzalność przeświecało (niczym blask formy kształtującej materię) podobieństwo z archetypem wybranego, z żywym źródłem wartości...

W duchowym autoportrecie Miłosza świadomym sygnałem takiego pokrewieństwa jest ciągła obecność w nim Mickiewicza jako „naczelnego artysty", wcielenia podstawowych dylematów polskiego poety i zasadniczego punktu odniesienia w tradycji polskiej poezji. Zresztą nie tylko obecność – także dialog, a czasem walka z Mickiewiczem. Miłosz mówi o Mickiewiczu, proponując całościową wizję jego

dzieła i hierarchizując je wewnątrz, a zarazem – mówi Mickiewiczem, podejmuje jego pytania, wkracza, metaforycznie i dosłownie, w Mickiewiczowską przestrzeń...

Wilno Miłosza z *Rodzinnej Europy*, jego „miasto bez imienia" i Lauda – czy nie istnieją wobec i w związku z Wilnem Mickiewicza i z jego mityczną Litwą, krajem lat dziecińczych, czy nie ewokują – poprzez niejasne podobieństwa i różnice – zbliżonej aury emocjonalnej i aksjologicznej? Droga do odsłonięcia własnej tożsamości wiedzie zatem poprzez rozmowę z przeszłością i tkwiącymi w niej wartościami... Podobnie można odczytywać Miłoszowską decyzję tłumaczenia *Pisma Świętego*. Wytwarza się w ten sposób szczególna dialektyka: to co osobowe odsłanianie jest poprzez wartości ponadosobowe. Ale też odwrotnie: bo właśnie to, co osobowe (konkretne, jednostkowe) buduje pomost ku temu, co ponadosobowe. Tylko we własnym losie, ukształtowanym i zobaczonym w perspektywie symbolicznej (czy mitycznej, jakby może rzekł Kołakowski) można odczytać sens rzeczywistości...

Tłumaczy to w dużej mierze postępowanie Miłosza w *Rodzinnej Europie* i *Ziemiu Ulro* – i zarysowany w obu tych książkach związek między biografią Miłosza a obrazem epoki w jej wymiarze politycznym i duchowym. Miłosz pisze więc kolejne warianty autobiografii po to, by pytając „kim jestem?", spytać zarazem o porządek i sens świata jako całości. Niedawno napisał: „W mojej świadomości przebywa cała nasza okrągła Ziemia (...)" (NO, 51). Dlatego może – odsłaniając siebie, odsłania świat...

Wskazane przed chwilą przekonanie, jak i prowadząca doń droga, wydają się istotne dla zrozumienia Miłoszowskiej koncepcji mówienia. Używa tak ogólnego terminu z rozmysłem. Dzieło autora *Pry-*

watnych obowiązków jest bowiem z jednej strony niezwykle zróżnicowane pod względem gatunków i form wypowiedzi (przy czym zjawisko to można obserwować zarówno na poziomie wielu tekstów, przeciwstawianych sobie jako całości, jak i wewnątrz jednego utworu), z drugiej – co wynika już z poprzednich konstatacji – działają w nim silne mechanizmy jednoczące...

Dzieło Miłosza jest zatem w swym podstawowym wymiarze organizowane przez mit Księgi, sam zaś poeta nazwany być może człowiekiem Księgi, czy raczej jej budowniczym. Wspomniany mit (a jeśli ktoś woli idea) pojawia się w wersji skrytalizowanej późno, jego zapowiedzi są wszakże obecne u Miłosza co najmniej od poematu *Świat*.

Miłoszowska Księga niewiele ma przy tym wspólnego z ideą pustej niemożliwej księgi Mallarmego, który pragnienie absolutnej wolności i autonomii sztuki słowa łączył z odwołaniem od rzeczywistości i apologią nicości, ani z różnymi wersjami awangardowych utopii estetycznych... Można natomiast rzec, iż poeta z Berkeley rozważa wspomniane koncepcje, a zwłaszcza fundujące je światoodczucia, aby poprzez ich zaprzeczenie skierować się w stronę koncepcji własnej, pozytywnej... Miłoszowi nie chodzi o oryginalność, nowoczesność, etc. – zewnętrzne podobieństwa do awangardowej idei work in progress, jakie odnalazć można w jego twórczości lat siedemdziesiątych, łączą się z powinowactwami o wiele istotniejszymi, kierującymi w stronę istniejącej od wieków topiki Księgi. Topiki, z jednej strony ujmującej Kosmos jako *Pismo Boga*, z drugiej zaś, traktującej *Pismo Święte* jako prawzór wszelkich ludzkich ksiąg... Ostatecznie poematowi *Gdzie wschodzi słońce i kędy zapada, Ogródowi nauk i Nieobjętej ziemi* towarzyszą przekłady kolejnych ksiąg *Biblii*. Trudno nie zwrócić uwagi na symboliczny wymiar tego faktu: podjęty przez Miłosza wysiłek budowania Księgi zostaje w ten sposób unaoczniony i potwierdzony przez obecność w nim własnej wersji istniejącego archetypu Księgi...

Mit Księgi w przywoływanym tu sensie nie jest (a na pewno nie tylko) sposobem konstruowania dzieła ani artystycznym projektem, choć może być pojmowany jako nadrzędna siła, zasada, czy też idea, regulująca wybór i zestrój wartości, odsłanianych w konkretnym dziele. Gdy Miłosz powiada w finale *Nieobjętej ziemi*:

Zamieszkać w zdaniu, które byłoby jak wykute z metalu. Skąd takie pragnienie? Nie żeby kogoś zachwyć. Nie żeby utrwalić imię w pamięci potomnych. Nienazwana potrzeba ładu, rytmu, formy które to trzy słowa obracamy przeciw chaosowi i nicości. (NO, 145)

– to bardzo wyraźnie widać owo wyprowadzenie konsekwencji artystycznych z uprzednio przyjętych założeń wyższego rzędu...

Rodzaj tych założeń będących też – paradoksalne – punktem dojścia Miłosza, jest chyba oczywisty. Idea Księgi jest motywowana religijnie. Jej ostatecznym horyzontem jest Rzeczywistość, gwarantowana (to znaczy obdarzona istnieniem i sensem) przez Boga. Wynika stąd, iż człowiek Księgi nie jest w pierwszym rzędzie – poetą. Człowiek Księgi to przede wszystkim ten, kto stojąc wobec świata przeżywa szczególnie intensywnie (w pewnym sensie afirmuje) fakt jego istnienia, zarazem zaś przeczuwa? wierzy? ma nadzieję? iż ów świat kryje w sobie sens, który go przekracza i porządkuje... Najwyższe wartości dla człowieka Księgi to istnienie świata i poszukiwanie ukrytego w nim sensu. (To ostatnie pojęcie może być zastąpione przez inne: hierarchii, ładu, świętości...)

Dotychczasowe rozważania dowodzą (przynajmniej częściowo), iż taką właśnie hierarchię wartości – czy inaczej: takie światoodczucie – łatwo w dziele Miłosza odnaleźć. Od dawna pełno w nim świadectw ośnienia jednostkowym, konkretnym istnieniem rzeczy, jak i istnieniem „wielkiej całości", świata, pojawiającego

dokończeniu na s. 19



Nieborów. gąszcz leśny

JACEK SEMPOLIŃSKI



# listy

McLean, Va 18 grudnia 1990

Szanowny Panie Redaktorze,

nie przez lenistwo ani spóźniony refleks, lecz dlatego że TL dostają z blisko dwumiesięcznym opóźnieniem, dopiero teraz mogę się bronić przed nowymi oskarżeniami Andrzeja Horubały. Jego odpowiedź na mój list w TL Nr 6 (28 paźdz. 1990) jeszcze wyraźniej ukazuje, że popelnia on grzechy, którymi chciałby obciążyć mnie. Ja nie „wypręparowałem” przytoczonych przez Horubałę cytatów z *Kalendarza i klepsydry*. Po prostu zbędne mi były aż tak długie wyjątki jak te, które przytoczył mój krytyk. Byłoby to całkiem okazywane, gdyby Horubała właśnie nie wypręparowała owych dwóch cytatów z mojej *Prawdy nieartystycznej*. Pierwszy dotyczył wywodu na temat używania przmiotnika „obcy” w odniesieniu do polskich Żydów i Polaków żydowskiego pochodzenia. Faktem jest, że Tadeusz Konwicki posłużył się tym przmiotnikiem „przy całej swej życzliwości dla owych «obcych», że sam siebie zacytuje (PN s.64). Po przytoczeniu przez Horubałę cytacie z Konwickiego: „My nie musimy cudnie mówić po polsku, my jesteśmy Polką. To wy, przechrzty, odmienne, pielęgnujecie za nas (...) ten nasz język” w *Prawdzie nieartystycznej* następuje zdanie: „U Orzeszkowej Polką byli «przechrztzy» i «odmienne», a ich odmienność nie była obcością”. Mój wniosek, na tejże stronie, jest tylko ten, że „wywód Konwickiego jest dowodem mentalności stulecia”, w którym tak „zawrotną karierę zrobił przmiotnik «obcy»”. Ewentualna ironia autora *Kalendarza i klepsydry* nie ma tu nic do rzeczy.

W drugim cytacie ze s. 111-112, chodzi o poparcie stwierdzenia, że w literaturze polskiej pojawiła się „tendencja do zapomniania”. Wskazuje ją w *Popiele i diamentach* Andrzeja Konwickiego a także w *Malej apokalipsie* Konwickiego. Horubała nie wspomina o tym co napisane jest tuż przed przytoczonym przez niego tekstem, a mianowicie: „Konwicki w *Malej apokalipsie*, w cudownie wymieszonym obrazie warszawskiej przeszłości, przyszłości i teraźniejszości, syntezie Warszawy jako kultury, nie znalazł żydowskiego śladu poza jednym okazem godnego politywanina lub pogardy byłego aparatczyka. I to w mieście, z którego latem 1942 r. wyprawiono na zagładę setki tysięcy ży-

dowskich mieszkańców, w którym urodził się, nadaremnie całe życie pracował i skąd poszedł na męczeńską śmierć z tymi setkami tysięcy Janusz Korczak, jeden z największych i najautentyczniejszych świętych. A jeszcze w *Kalendarzu i klepsydrze* Konwicki zapewnia, że «choćby ostatni Europejczyk zapomniał, że nad Wisłą mieszkał liczny lud żydowski, w naszych domach będą straszyć nocą duchy pomordowanych Żydów». Dopiero potem następuje cytowany przez Horubałę zarzut niekonsekwencji Konwickiego, że z jednej strony postuluje on dla pomordowanych pomnik, z drugiej dopuszcza, że „lepiej może zapomnieć”, a z trzeciej sam w swej najlepszej prozie zapomina. Pod tym wnioskiem znajduje się pytanie: „Czy od pomników nie ważniejsza jest prawdziwa pamięć, czyli pamięć prawdy?” I jest to wyłącznie zarzut niekonsekwencji i tendencji do zapomniania, a nie antysemityzmu, jak stara się zinterpretować Horubała, który w swej odpowiedzi pisze, że „twierdzenie o tropieniu antysemityzmu w odniesieniu do postępowania Henryka Grynberga z *Kalendarzem i klepsydrą* jest (...) eufemizmem” Horubała, jak widać, zostawia sobie dużą dowolność interpretacji, natomiast moją interpretację nazywa „falszowaniem”. Z ukazanych powyżej faktów dosyć jasno wynika, że to on właśnie „wypręparowuje” cytaty i że to jego zabiegi, a nie moje, noszą „znamiona świadomej manipulacji”.

Horubała zauważył, że na s. 36 w *Prawdzie nieartystycznej* znajduje się pomyłka co do miejsca śmierci Barabasza oraz nieścisłość w twierdzeniu, że „żaden z ewangelistów nie był świadkiem opisywanych wydarzeń”. Według tradycji kościelnej Jan, syn Zebedeusza, uczeń Jezusa, uważany jest za autora Czwartej Ewangelii, Jednakże żaden oryginał się nie zachował, a odpisy noszą historyczne i językowe ślady znacznie późniejszego okresu. Historyczne autorstwo Jana jest więcej niż wątpliwe. Jest w mojej książce inna, całkiem oczywista pomyłka, a Horubała jej nie zauważył, bo i on nie jest doskonały. Dwie pomyłki i jedna nieprecyzyjność na 140 dość dużych stronach, to wcale nie tak źle i życzę Horubał, żeby nie miał nigdy do czynienia z większą niż „tego rodzaju ignorancją”. Łączę najlepsze życzenia Noworoczne.

PS: W moim poprzednim liście nie „protestuję, że nie chodziło o żadną wyprawę przeciw Ewangeliom”, lecz „protestuję”. Mam nadzieję, że Pan Redaktor łaskawie zamieści i te sprostowania. Należą się one z pewnością Autorowi *Kalendarza i klepsydry*.

Henryk Grynberg

## Prenumerata „Tygodnika Literackiego”

Cena prenumeraty krajowej „Tygodnika Literackiego” kwartalnie (13 numerów) – 32500 zł, zagranicznej kwartalnie – \$19,5, lub równowartość w walucie lokalnej (wysyłka pocztą lotniczą).

Możliwa jest również prenumerata mniejszej ilości numerów z zaznaczeniem, od którego numeru została dokonana wpłata. Cena pojedynczego egz. w prenumeracie wynosi 2500 zł lub \$1,5.

Wpłaty prosimy kierować na konto:

„CAMELOT” spółka z o.o. PBK III Oddział Warszawa 370015-971241-136

Informacji udziela „CAMELOT” Warszawa, ul. Rakowiecka 4, tel. 48-38-09

# ...Szukając tego, co jest Rzeczywiste (2)

dokończenie ze s. 17

się bezpośrednio w szczególnym doznaniu, ale też stanowiącego nieustannie obecny horyzont własnego losu... Przedmiotem namysłu Miłosza staje się też – co znamienne – pojęcie esse. „Od samego rana, ledwo słońce tam trafi przez cieniste klony: Chodzą rozpamiętując święte słowo: Jest. – tak wygląda ujęty w dwuwiersz obraz Republiki doskonałej (W II,301). Podobnie – powraca wciąż pojęcie rzeczywistości, któremu to słowo nadaje poeta „znaczenie naiwne i dostojne”, bo „niewątpliwie ta Ziemia jest i bogactw jej żaden opis nie potrafi wyczerpać”. (ZMU,350). Rzeczywistość jest zresztą dla Miłosza nie tylko tematem, lecz także problemem, bo – jak sądzi poeta – w swym pełnym wymiarze wymyka się ona współczesnym ludziom, wielu z nich „wydaje się za trudną” (ON,163). Jej „uchwycenie” z kolei domaga się wyraźnie dostrzeżenia hierarchii rzeczy istniejących. „Rzeczywistość – mówi Miłosz – żeby dawała się uchwylić (...) wymaga (...) idei porządkującej” (ON,36)... Stąd bierze się ciągle wysiłek odnajdywania w rzeczywistości ładu – od „naiwności” Świata po ekstatyczność Daru.

Mówiłem poprzednio, iż wygnanie jest przez Miłosza traktowane jako stan analogiczny do Gelassenheit mistyków. Mógłbym teraz dodać, iż także w stosunku Miłosza do rzeczy i rzeczywistości jest coś z Gelassenheit, tym razem w rozumieniu Heideggera – ten stosunek jest bowiem właśnie „spokojem płynącym z przebywania w pobliżu rzeczy”, z afirmacji ich istnienia... Jako człowiek Księgi jest też Miłosz poetą esse, poetą rzeczywistości, poetą ładu. Dopiero z tego punktu widać dokładnie nieco paradoksalny (choć przecież dobrze zadomowiony w tradycji) sposób rozumienia przezeń poezji. Sposób powtarzający na innym poziomie ogólności tę samą ideę Księgi.

„Sztuka – mówi Miłosz, niewątpliwie myśląc właśnie o poezji – jest bardzo małą sprawą w porównaniu ze złożonością i bogactwem świata widzialnego”. Gdzie indziej narzeka na „obrzydliwość rytmicznej mowy/Która sama siebie obrządza, sama postępuje” (*Gdzie słońce wschodzi i kędy zapada*, W II,217) i powiada, iż „W samej istocie poezji jest coś nieprzystojnego” (*Ars poetica?*, W II,174). Ta negacja poezji, jak zwykle u autora *Traktatu poetyckiego*, zapowiada jednak, czy wręcz ukrywa, afirmację – zupełnie inną niż u Przybosa, ale chyba głębszą, bardziej zasadniczą.

Negacja poezji jest u Miłosza pochodną spojrzenia na problem *sub specie* ontologicznego (potem zaś religijnego) porządku świata. Wiersz sam w sobie, poprzez przysługujący mu sposób istnienia – jest czymś słabym, nieistotnym. „Rzeczy dawniej trudne teraz są łatwe, ale nie czuję silnej potrzeby przekazywania ich na piśmie” – mówi poeta (*Stan poetycki*, W II,308). Dlaczego? Bo ów przekaz jest niekonieczny, wtórny wobec rzeczywistości. (Podobnie nieważna wydaje się poezja, która byłaby wyłącznie wyrazem ego, bez wspomnianego poprzednio ugruntowania w tym, co ponadsobowe. Miłosza, podobnie jak Herberta, nie interesuje „mała rozbita dusza z wielkim żalem nad sobą”).

Stąd bierze się gwałtowna niechęć wobec „zweżenia” poezji, wobec jej skoncentrowania na samej sobie, na języku, na procesie tworzenia (zob. ON 162-163, SP 25-26). Powiada jednak Miłosz o poecie i jego słowie:

Do was podnoszę kubek, tu, na scenie, Ja, głos, nic więcej, wielkiego teatrum. Przeciw zamkniętym oczom, cierpkim ustom, Przeciw milczeniu, które jest niewolą. Wezwanie, W II.205

– i w tym „nic więcej” zaczyna się proces budowania godności poety i poezji. Poezja jest tylko głosem, czymś kruchym i łatwym do zniszczenia, lecz przecież przynosi ona coś przeciwstawiającego się milczeniu, to znaczy – naporowi nicości. Można to powiedzieć inaczej. Miłosz uważa, że poezja nabiera znaczenia, staje się wartością wtedy, gdy przekracza swe własne granice. Istota poezji (jej sens) tkwi poza nią... Jest to koncepcja wyraźnie odrzucająca autonomiczność i autoteliczność poezji. W ich miejsce powracają pojęcia, organizujące od samego początku te rozważania... Poezja jest bowiem dla Miłosza słuchaniem „jak bije udręczone czy radosne serce realności”, jest namiętną pogonią za Rzeczywistością” (SP, 24). To samo można powiedzieć o jej twórcy. „Poeta powinien być (...) wierny rzeczywistości i oceniać ją hierarchicznie”. (SP,81).

Poezją rządzą więc wedle Miłosza dwie fundamentalne zasady. Pierwsza głosi, iż celem sztuki słowa jest pokazywanie świata jako wielkiej całości, pokazywania go ze wszystkich możliwych stron. Druga nakazuje ujmowanie tegoż świata jako całości uporządkowanej hierarchicznie. Zasady pełni i hierarchiczności obrazu świata raczej krzyżują się ze sobą niż po prostu łączą. Przy tym relacja między dążeniem do pełni i dążeniem do hierarchiczności ulegały w dziele Miłosza zmianom. Jako autor *Ziemi Ulro*, *Ogrodu nauk i Hymnu o perle*, jako tłumacz *Księgi psalmów* bliższy był chyba Miłosz zasady hierarchiczności, nakazującej poszukiwanie wartości najwyższych, porządkujących świat werbakalnie... W *Nieobjętej ziemi i Kronikach* fascynacja pełnym, cielesnym i duchowym wymiarem rzeczywistości wraca ponownie z niezwykłą siłą...

Funkcją poezji jest więc wedle Miłosza (i zgodnie z mitem Księgi) jednoczesne odświeżanie świata i zasadniczych wartości. Dlatego poezja zbliża się do drogi oczyszczania, budowania, odkupiania człowieka... Obraz poety, wylaniający się ostatecznie z rozważań Miłosza – i jeszcze bardziej z jego poezji – to obraz poety – presokratycznego mędrca (czytamy przecież w *Prywatnych obowiązkach*: „Poezja coraz bardziej staje się organem poznania, powracając jakby do czasów wczesnej Grecji, kiedy nie było innej filozofii niż poetycka”. (PO, 174), poety-hermeneuty, czy wręcz – używając terminu św. Augustyna i Giambattisty Vica, poety-teologa...

Marian Stala

Jest to druga część tekstu, który znajdzie się w przygotowywanym w wydawnictwie „Znak” tomie esejów Mariana Stali. Część trzecią zamieścimy w następnym numerze.

# TYGODNIK LITERACKI

niezależne pismo poświęcone sprawom kultury

AREOPAG: Jan Błoński, Gustaw Herling-Grudziński, Artur Międzyrzecki, Ryszard Przybylski, Jan Józef Szczepański.  
ZESPÓŁ: Hanna Bajtyn, Marta Bratkowska, Waldemar Cholewicki, Melania Dzeduszycka, Waldemar Gąsper (zastępca redaktora naczelnego), Rafał Grubiński, Dorota Jarocka, Rajmund Kalicki, Marek Karpiński, Tadeusz Komendant, Jacek Królak, Tomasz Królak (sekretarz redakcji), Jacek Łukaszewicz, Janusz Macejowski (redaktor naczelny), Łukasz Malachowski (sekretarz redakcji), Piotr Matywiecki (zastępca redaktora naczelnego), Grzegorz Musiel, Agnieszka Piwońska, Paweł Rodak, Iwona Smolka, Piotr Sommer, Jan Stachowski, Marian Stala, Robert Tekliński (zastępca redaktora naczelnego), Wojciech Tomczyk, Małgorzata Wierzbicka, Wanda Zwinnogrodzka.  
WSPÓŁPRACOWNICY: Marcin Baran, Bogumiła Berdychowska, Marek Bieńczyk, Krystyna Cholewicka, Agnieszka Dębek, Grzegorz Filip, Tomasz Jastrun, Krzysztof Kochler, Małgorzata Kruszczyńska, Maria Makowiecka, Tadeusz Nyczek, Agnieszka Pawłowska, Brygida Pütz, Bożena Szymula, Jacek Rajna, Krzysztof Rutkowski, Konrad Tatarowska.  
Przegląd Archeologiczny Metafizyki Społecznej „Śmigło” redaguje Zbigniew Sajnóg.  
Redaktor graficzny: Donat Chruściński, Marzena Włodarczyk. Korekta: Łucja Andrzejczak, Krystyna Okoniewska, Wojciech Sempka.  
Wydawca: FUNDACJA NA RZECZ WYDAWANIA TYGODNIKA LITERACKIEGO.  
Skład: „PRINT”, Warszawa, ul. Kutnowska 10. Druk ZG „Dom Słowa Polskiego” Warszawa.  
Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca.  
Adres redakcji: 00-538 Warszawa, ul. Wilcza 1, tel. 21-12-79

# O narodach zewnętrznych i wewnętrznych

W ostatnim czasie mój kraj przyciąga uwagę ludzi z Europy Zachodniej. Przyjeżdżają do nas, aby zobaczyć, co się tu dzieje i wyrobić sobie opinię, jakie mogą być tego następstwa dla pozostałej części Europy. Niefachowcy są często zdziwieni, że przybywają do kraju, w którym charakter życia, architektury, instytucji, przede wszystkim zaś kultury ma wyraźny związek z tą starą, dobrą Europą, kondycja której już od dawna jest przedmiotem troski. Fachowcy jednak wiedzą, że Czechosłowacja jest historycznym obszarem, gdzie zawsze krzyżowały się nurty myśli europejskiej oraz ścierały się siły militarne: z południa na północ, z zachodu na wschód i odwrotnie. Tę część naszego kontynentu nazywano Europą Środkową.

Po ostatniej wojnie dwa główne mocarstwa podzieliły nasz kontynent na dwie strefy wpływów. Linia podziału, biegnąca zachodnim skrajem Europy Środkowej, przypisała ją Wschodowi. Pojęcie „Europa Środkowa” utraciło sens polityczny. A ponieważ reżim, który w niej zapanował, niszczył także jej ducha i kulturę, zanosiło się rzeczywiście na to, że po pewnym czasie zniknie także osobowość Europy Środkowej. Milan Kundera, mój mieszkający we Francji rodak, już chyba przed dziesięciu czy piętnastu laty zbadał na odległość jej tętno, po czym ogłosił, iż jest ona w fazie śmierci klinicznej. My, mieszkający w kraju, poczuliśmy się tym dotknięci. Wydawało się nam, że nie żyjąc pośród nas, Kundera nie dość dobrze nas rozumie. Osobiście uważam, że publiczne ogłoszenie złej wiadomości jest jednocześnie jakby akceptacją takiego stanu rzeczy i zamknięciem tematu. Z drugiej jednak strony, głos Kundery – być może – mógł poruszyć okoliczne sumienia.

I rzeczywiście, w minionych bodaj dziesięciu latach wszędzie i w najrozmaitszych kontekstach mówi się o Europie: analizowana jest jej sytuacja, powstają ośrodki wspólnej myśli europejskiej, tworzone są nowe typy więzi. W ten sposób jak gdyby pobudza się zwiotczące nerwy chorego organizmu, który zaczyna odczuwać swoje ciało i uświadamiać sobie własne rozmiary. I tu znowu pojawia się kwestia Europy Środkowej: czy ona jeszcze istnieje? Cóż to takiego jest, a właściwie czym pierwotnie była? Pytanie to podnieśli Węgrów, Austriaków i Polaków, także u nas spotkało się z żywym oddźwiękiem. Rozprawia się o tym, kogo powinniśmy zaliczyć do Europy Środkowej... i już mamy miłe, nieszkodliwe intrygi: kogo byśmy w niej widzieli, a kogo raczej nie. A więc my, Czechosłowacy, widzielibyśmy w niej na pewno Austriaków i Węgrów. No proszę: czy nie jest to rehabilitacja przeklinanych kiedyś Austro-Węgier, które wszyscy rozbiliśmy w roku 1918? O swej przynależności do Europy Środkowej przypominają bardzo głośno także Polacy – lecz czy ich obecność nie przysporzy gospodarczych kłopotów pozostałym? A co zrobić z Niemcami?

Natychmiast nasuwa się pytanie, jaką funkcję spełniała dawna Europa Środkowa oraz do czego jest nam potrzebna dzisiaj. Funkcjonowała niewątpliwie jako obrona przed ekspansjonizmem niemieckim z jednej, a rosyjskim z drugiej strony. Jest to jednak konstatacja formalnie geopolityczna, ja zaś ostatnio roztrząsam zagadnienie odmiennej natury: dlaczego narody Europy Środkowej broniły się przed naporem z obu stron i czegoż to właściwie broniły?

Uważam, że dla narodów całej Europy słuszny jest podział na narody zewnętrzne

i wewnętrzne. Narody zewnętrzne dzielą na nadmorskie oraz Rosjan. Wielkie narody nadmorskie, jak Francuzi czy Niemcy, oraz małe Portugalczycy czy Holendrzy, podczas swego rozwoju mogły się rozprzestrzeniać za morza, Rosjanie zaś dysponowali ogromnymi połaciami kontynentalnej Azji. Narody wewnętrzne, nie mające możliwości ekspansji na żadną ze stron, rozwijały się kondensując swoją energię z chęci przeciwstawienia się silniejszym sąsiadom, ażeby zachować własny język, własny styl życia oraz inne cechy tożsamości narodowej. Francuski katolik z całą pewnością był kiedyś kimś innym aniżeli katolik czeski, dzisiejszy niemiecki luteranin różni się od słowackiego. Można powiedzieć, że europejskie narody wewnętrzne wyszły z tej walki zwycięsko, ale jednocześnie zwycięstwo to nie przyniosło im żadnych materialnych korzyści. Cała ich fizyczna i duchowa energia została spożytkowana do obrony tożsamości, przy czym z samej tożsamości... Czy wynika z niej coś szczególnie cennego...? Zadaję sobie to pytanie jako przedstawiciel narodu Czechów, których kultura i styl życia są niemal identyczne jak Niemców, z tą różnicą, że dzięki Bogu nie jesteśmy Niemcami. Co godnego uwagi wywalczyli dla Europy i świata Węgrzy, prócz tego że są jedynymi Węgrami na świecie, a prawdopodobnie także w kosmosie?

Nasza walka o prawo do własnego języka, obyczaju i tradycji była tak ciężka, że nie starczyło już nam ani sił, ani środków do wielkich i wyjątkowych dokonań. My, Środkowoeuropejczycy, mamy więc na koncie po prostu dokonania przyzwoite, dorównujące dokonaniom narodów wielkich – dorównujące i nie poza tym. Jeden z czeskich filozofów młodszego pokolenia, zdaje się Bělohradský, dotknął mnie wyrażoną opinią, że Europa Środkowa jest czymś w rodzaju nudnego rezerwatu przeciętności. Uraziło mnie to, ponieważ w naszym sąsiedztwie także nie widzę niczego szczególnie doniosłego! „Czego się czepiasz, człowieku? – polemizowałem z nim w duchu. – Pokaż mi równie autorefleksyjnego Anglika lub Francuza!”

Oczywiście stawiam sobie pytanie: gdybyśmy my, Czesi, zamiast bronić się przed niemieckością, złączyli się z nią, Polacy zaś w pokojowy sposób zaakceptowaliby cara i język rosyjski, do czego zawsze ich szlachetnie zmuszała Wielka Rosja, czy nie zasłużylibyśmy się wówczas bardziej dla Europy i ludzkości? Miał zespolic własną energię z energią naszych cieniężycieli, postanowiliśmy spożytkować ją sami. Gdyby się jednak tak stało, nie istniałaby dzisiaj Europa Środkowa i nie byłoby z nią żadnych problemów. Na jej obszarze sąsiadowałoby dwa rywalizujące ze sobą imperia. Jeśli bym swoje rozważania miał zakończyć stwierdzeniem, że historyczny bój narodów środkowoeuropejskich o zachowanie tożsamości był niepotrzebnym ubytkiem sił, byłoby lepiej, ażeby nie napisał niczego. Idźmy zatem dalej. O co właściwie walczyły ekspansywne narody zewnętrzne na zachodzie i wschodzie Europy? O nowe terytoria, o panowanie na morzu, o bogactwa, o władzę. Nie sądzę, by z ogólnoludzkiego punktu widzenia było w tym cokolwiek do pozazdroszczenia. Prędzej zakrawa to na ironię, ponieważ i one nie mają dzisiaj niczego. Natomiast my, narody wewnętrzne, mamy to, o co nam zawsze chodziło: zdolność do przeciwstawienia się większym sąsiadom, własną mowę, własną nazwę, własne tradycje. A także odziedziczoną, pielęgnowaną nieufność do władzy, do bogactwa i autorytetów. Podczas gdy wielka Europa Zachodnia i Wschodnia marnowała swą historię na uganianiu się za przemijającymi skarbami tego świata oraz za czczą sławą, my broniliśmy swego ducha, swej niezależności, prawa do respektowania zasady odrębności jednostki i grupy ludzi wobec hegemonii. Tu, w Europie Środkowej, stoczona została walka o ducha całej Europy. Przykładem tego jest także to, co od czasów ostatniej wojny, a zwłaszcza w minionym smutnym (jak powie Kundera) dziesięcioleciu działo się w Polsce i na Węgrzech oraz aktualnie zainteresowanie zachodniej Europy Czechosłowacją. W tym samym czasie owi wielcy, nadmorscy, żyją sobie w dobrobycie, zaświniając jednocześnie kulę ziemską i kosmos, a ci wschodni wegetują na granicy ludzkiej wytrzymałości.

Z centrum Europy tę refleksję dedykuję tym na jej obrzeżach.

Ludvík Vaculík  
przełożył: Jan Stachowski

(Tekst napisany dla NRC Handelsblad, Amsterdam)

## Strzała czasu

W historii wszystko jest legendą. Odkąd doświadczyłem niepewności, moja wizja świata stała się pełniejsza, choć jej metafory są nadal beznadziejnie zagmatwane. Psychiatra Willo Jurg ostrzega, że „człowiekowi grozi dziś zagłada nie tylko wskutek zniszczenia środowiska naturalnego, lecz również z powodu upadku najbardziej elementarnych struktur wspólnoty”. W takich sytuacjach pojawia się pokusa zamknięcia: dawny odruch społeczeństw, które boją się ludzi przegranych. Istotę demokratycznej gry politycznej można raczej określić jako zajmowanie się półprawdami. Demokracja parlamentarna jest w głębi swej istoty systemem ograniczonego klamania, uprawianego z przeciwnymi pozycjami – każda partia stara się przedstawić część prawdy z taką pewnością jakby była to cała prawda. Przy okazji nienawiści intelektualnej powoduje, że wkłada się ton inkwizycji. Politykom należy zawsze wytykać niedostatek dystansu.

Historyk w roli polityka sprawia wrażenie człowieka, który woli czytać książki niż wygłaszać przemówienia. Pod ręką ma obraz bogatego, perwersyjnego mieszczaucha, człowieka bez kręgosłupa moralnego. W jego umyśle przemilczenia konkurują z fałszerstwem. Nie wystarczy zamknąć zakładów psychiatrycznych i udawać, że coś takiego jak obłęd nie istnieje. Jedno pozostaje pewne: silny przywódca zdejmując z narodu potrzebę myślenia. Król hiszpański, Juan Carlos, odkrył całkiem niedawno, że „nie zawsze jest łatwo udawać idiotę”. W Korteżach, gdy deputowani chowali się pod ławy przed karabinami pułkownika Tajero, tylko monarcha stał wyprostowany jak struna, ponieważ żaden protokół nie przewiduje sprowadzenia majestatu do pozycji leżącej. Rychło król przekonał się, czego mogą dokonać w polityce kule wystrzelone z bliskiej odległości. Stosowanie przemocy korzysta z powtarzalnej dramaturgii. Wystarczy przypomnieć wymianę nieszcześć między Polską a Rosją. Pieczęć gwałtownych wypadków odciska się na wszystkim. Polska wyobraźnia nie potrafi obejść się bez ikonografii powstania ludowego. Pozostaje kategoria czasu w roli uniwersalnego mediatora. W roku 1927 astrofizyk Arthur Eddington, który pomógł udowodnić teorię Einsteina, wprowadził pojęcie „strzała czasu”. Według niego czas przypomina wypuszczoną z łuku strzałę. Trudno wątpić, że tak jest naprawdę. Świadczy o tym każde spojrzenie w lustro.

Włodzimierz Paźniewski



JÓZEF HALAS